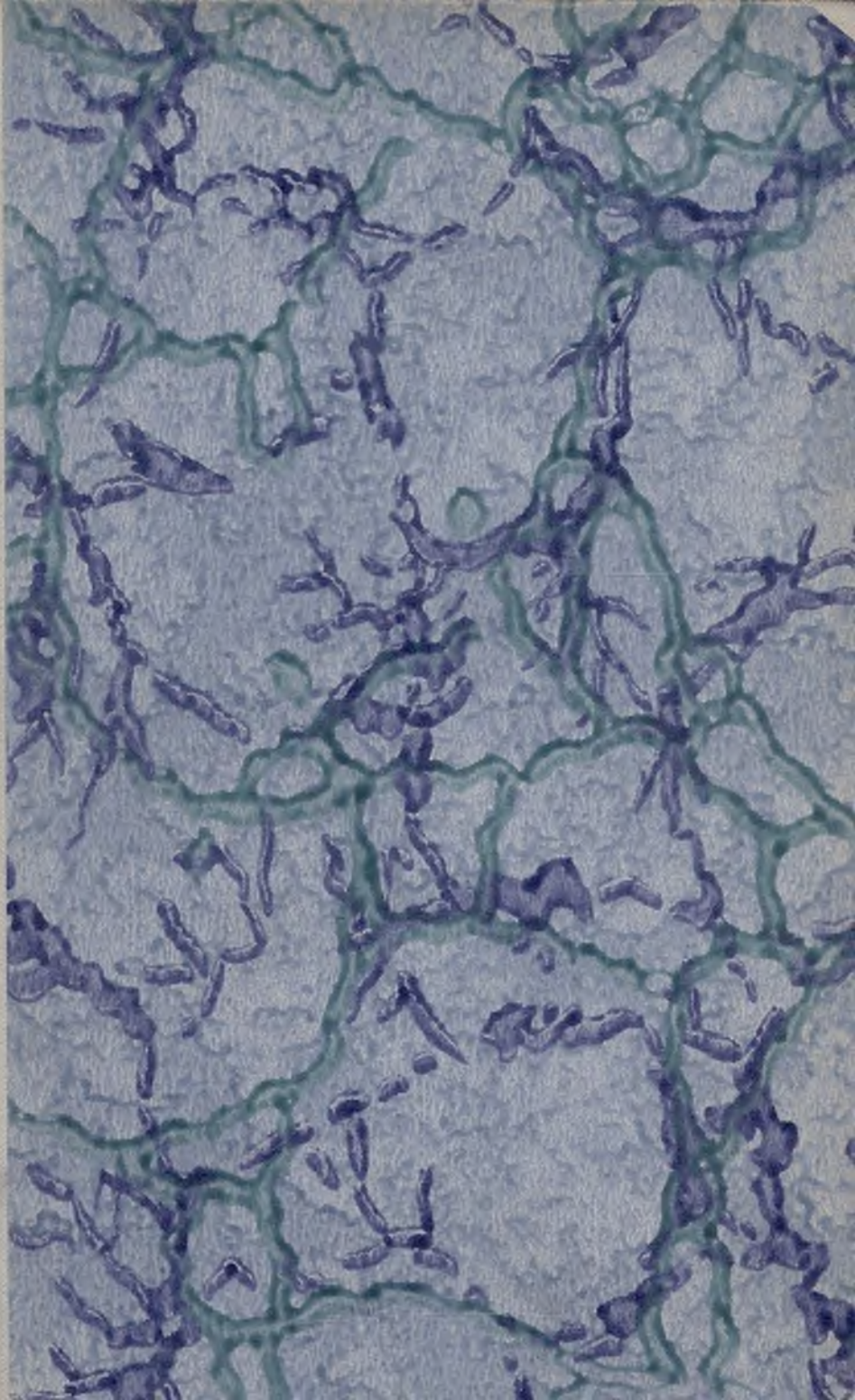

RYMY i RYTMY

WYBRANE

Z TEKI

MACIEJA SZUKIEWICZA

KSIĘGARNIA POLSKA I SKŁAD NUT

FRYDERYKA EBERTA WDOWY W KRAKOWIE

Ul. SŁAWKOWSKA 3 (Hotel Saski).

DOSTARCZA:

WSZELKICH, GDZIEKOLWIEK OGŁOSZONYCH WYDAWNICTW PUNKTUALNIE i W MOŻLIWIE NAJKRÓTSZYM CZASIE.

SPECJALNOŚĆ:

PRZEWODNIKI PO WSZYSTKICH KRAJACH, MIASTACH i MIEJSCACH KĄPIELOWYCH.

MAPY:

DLA SZTABU GENERALNEGO, AUTOMOBILISTÓW i TURYSTÓW.

DZIEŁA I PISMA DOTYCZĄCE SPORTÓW I TATERNICTWA.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE
POMOCE NAUKOWE
— ATLASY —

NUTY

SZKOŁY NA FORTEPIAN, SKRZYPCE i INNE INSTRUMENTY.

PRENUMERATA PISM i WSZELKICH WYDAWNICTW PERJODYCZNYCH ZARÓWNO KRAJOWYCH JAK ZAGRANICZNYCH.

MACIEJ SZUKIEWICZ

RYMY i RYTMY

Z autografem autora i portretem pędzla L. Misky'ego
oraz przedmową
KAROLA LUDWIKA KONIŃSKIEGO

KRAKÓW 1936
NAKŁADEM KSIĘGARNI FRYDERYKA EBERTA

3794/63

LPT2i
L2g3g

172181
II

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

DR
Księgarnia Wrkt 20.
Autgzw. Nowa.
Kraków, ul. Sławkowska 10.
30.3.1963. 20,-zł

Drukarnia Tow. Św. Michała Arch. w Miejscu Piastowem

Gdyby pieśń zmilkła kiedy, — to mogiły
jękiem i echem ton sobie podadzą
i morza będą w srebrne harfy biły...
Bo świat ten stoi pod mocą i władzą
pieśni i czerpie z niej tajemne siły,
co go przez drogę ognistą prowadzą
i posiew czynu miotą w serc zarzewie. —
Świat żyje pieśnią, chociaż o tem nie wie.

M. Konopnicka.

Szanownemu Panu

Dr. [redacted]

z prośbą o gościnę w Jego bibljotece

przesyła

Maciej Szukiej

26.I.1939

Maciej Szupiemu

Olejno malował Ludwik Misky.

MIT POETYCKI MACIEJA SZUKIEWICZA

NAPISAŁ

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

Poetyckie kosmogonje (mitologje) są zazwyczaj epickiemi transkrypcjami przeżyć lirycznych, natury najczęściej estetycznej, których najobfitszem źródłem bywa przyroda, ale i natury etycznej, erotycznej, patrjotycznej i t. p. Poeta doznaje wzruszenia, wzruszenie ożywia wyobraźnię, wyobraźnia kształtuje jakieś jestestwo mityczne, najczęściej niedokształtne, ledwo wynurzające się z półcienia przestrzeni fantastycznej; jeśli na tem poeta poprzestanie, mamy mitologję liryczną; gdy jednak umysł poety nastrojony jest filozoficznie, to nie zadowoli się on taką mitologją fragmentaryczną i prowizoryczną, ale zapragnie ten świat fantastyczny uporządkować i nadać mu symboliczny sens światopoglądowy: powstaje kosmogonja poetycka, mit rozwinięty szeroko, który, jeśli jest organizmem estetycznie żywym, a nie zbiorem alegoryj, dających się każda zosobna rozsądnie objaśnić, to tylko wtedy i dlatego, że ciągnie swój sens i swoje życie z liryki, na której urósł i oplótł się. I jest to dla czytelnika uważ-

nego bardzo powabną rzeczą śledzić macierzystą tętnię liryki poprzez koleje epiczne mitu. Uczyniłem to z poematem Macieja Szukiewicza p. tyt. *Na głębiach (I)*, z którego, przy sposobności, będę dawał cytaty obfite, nietylko dlatego, by lepiej Czytelnikowi uzmysłowić bieg wywodu, lecz dlatego także, aby w tem wydaniu zbiorowem zachować przynajmniej fragmenty poezji, jednej z najlepszych.

Fragmenty opatruję tytułami własnego pomysłu.

OD CHAOSU DO CZŁOWIEKA.

Takie wielkie mitologje-kosmogonje z ducha liryki poczęte, zaczynają się zwykle z umysłu poety snuć w dobach jego sam na sam z wielką przyrodą, w górach lub na morzu, w puszczach, pustyniach... W nieruchomym wywczasie ustaje wszelki kłopot i niepokój. Jest tylko „cisza, tak święta i taka bezdenna, że dusza w piersi przebudza się senna, pogląda w gwiazdy, rozpościera skrzydła i w przestwór leci..."

W takich spokojnych zadumach wpośrodku ogromnej nieruchomości przestworów, czas człowiekowi mija jakby nie mijał. Upływa czas objektywny, ten nieskończenie obojętny człowiekowi: bo co nas obchodzi, gdy się już kłopotać przestaniemy, obrót wskazówek na zegarku albo słońca dokoła ziemi?... Lecz nie upływa w godzinach ukojenia czas subjektywny, jedyny prawdziwy czas serca ludzkiego: bo ten mierzy się odległością, którą trzeba przejść od prag-

nienia do spełnienia, mierzy się całym rozmiarem tęsknoty, niecierpliwości, niemocy, cierpienia. Ale wtedy, kiedy się pragnienia i frasunki uciszą, wtedy i wszelkie jutro traci sens, zostaje jedno wielkie dziś i teraz — a to nazywa się trwać; inna rzecz, że bez wiedzy człowieka, w jego organiźmie, w całosplocie jego stosunków życiowych, czas spełnia ową skrzętną robotę, co pomniejsza dystans między życiem a kresem życia; ale w godzinach ukojenia człowiek nie nadsłuchuje za nieznużonym skrzętem zegarów: czuje, że trwa i to mu wystarcza. I w tem trwaniu czuje się człowiek zjednolicony z wielkim oto przed sobą światem, nieruchomo jak on sam, trwającym. A kiedy jeszcze, w nawpół sennem błogiem rozmarzeniu, dalekie ciche horyzonty uniosą się nad duszą człowieka jakby widma senne, jako rzeczy, których rzeczywistość rozmiękła i rozrzedziła się, — to już łatwo człowiekowi pomyśleć, że to i tamto, człowiek i świat, to jedno; może nawet nietyle pomyśleć ile poczuć. Jeden wielki sen — ze swoją logiką, w której już zasada tożsamości przestała obowiązywać: nieprawda, że wszystko co jest, jest samem sobą, ale prawda, że wszystko jest wszystkiem.

A skoro już tak, to poeta myśliciel, który obok snu umiał jawę zachować w sobie, zapyta: Jeśli to wszystko ja jestem, a ja tem wszystkiem, to chyba muszę mieć w sobie historję tego wszystkiego, a jeśli tak, to ja robiłem tę historję: boć przecie wszystko jest wszystkiem; robiłem tę historję, ale i ona mnie robiła, jestem stwórcą i stworzeniem, wszechmocą i ofiarą wszechmocy. Jeśli wszystko jest wszystkiem, to niema odstępów rzeczywistych między jestestwem a jestestwem; ale w takim razie niema ni

poprzedzania, ni następstwa, a to znaczy, że się poplątała i pokłębiła linja czasu: co było ongiś, może być teraz, co jest teraz, może być tem samem co istniało przed wiekami, przed wiekami, co były tylko snem... Ale czyż właśnie takie czasy i przestrzenie, nie są czasem i przestrzenią lirycznego wzruszenia?...

Zresztą wszystko to nie jest tak bardzo fantastyczne i nieprawdopodobne, obłąkane; rozwój, który ku nam szedł, napewno pozostawił w najgłębszych pokładach naszej pamięci swe koleiny. I nie musi to wcale być jednoznaczne z samobytnictwem (tak sobie spolszczmy solipsyzm, mniemanie, że „naprawdę“ tylko ja sam jestem, a wszyscy i wszystko mojem wyobrażeniem), poglądem moralnie bluźnierczym, brednią dla instynktu samozachowawczego (a napewno i dyskursywnie nieutrzymalnym). Bo jeśli jestem kroplą oceanu, to mam w sobie wtedy jego istotę, którą jest woda i całą historję wszystkiej wody pod słońcem.

Niechaj więc człowiek-poeta, w jakichś nadmorskich swoich wywczasach, ujrzy raz, „jak się wirowisko niekiełzanej fali przelewa głucho“, jak

. . . . razporaz na głębi
W rozwartą gardziel straszliwego wrzyska
Wicher się wśliźnie, tarza się i kłębi,
Drze topiel w płachty, z płacht kręci biczyska,
Skręcone żenie gniewem swego płuca
I chłoszcze odmęt. Zachwiał się olbrzymi
Nurt w swoich tajniach, ze snu się ocuca,
I pianą parska, i tumanem dymi,
I dyszy zemstą. Już u widnokręga
Tysiąc się wichrów z łona wód wylęga,

Tysiąc fal wzdyma, tysiąc gór wydźwiga,
Pęcznieje, rośnie, w jeden hufiec sprzęga.

(str. 6)

Wtedy poeta wyobrazi sobie, że to jest praprzeszłość, co się w nim zbudziła i podniosła:

Trzask, ryk, wir, zamęt, szał żywiołów, CHAOS...
Moje go tylko widziały wywczasy
W otchłani wieków. Odwieczny i święty,
On jeden krasą swą dorastał krasy
Żądz mych niesytych.

(str. 7)

Podobny zamęt żywiołów poeta w sobie znał: w tej mistyczno-lirycznej logice powszechnego utożsamienia, ten fakt, że człowiek uczuł w zamęcie żywiołów natury coś podobnego do tego, co w nim samym jest, jest już zupełnie wystarczającym do wysnucia zeń wniosku: Ja byłem tym samym chaosem, ale byłem i tem, czem jestem teraz: świadomością; więc zarazem nie byłem chaosem, byłem czemś wyższem nad chaos, więc jego stwórcą. Nie jest pewnem, iż poeta akurat tak samo jak tu, czarno na białem, dyskuruje ze sobą; ale o to idzie, że poezja fantastyczno-filozoficzna nie jest bezładnem bredzeniem, lecz ma swoją specyficzną pod względem założeń logikę, którą można wykryć. Poezja fantastyczna, jeśli wyszła z umysłu wyszkolonego w myśleniu, jest, choćby nawet bez świadomej woli poety, intelektualną zabawą w logikę o nowych niezwykłych założeniach.

Ale dość na ten temat. Idźmyż za poetą, samotnym pośród przyrody nadmorskiej; patrzajcie: Od wschodu słońca wody się zapaliły!

POŻAR WÓD:

Kędyście, wody, wy niźnie i wyźnie
I wy z pobliża i owe z oddali?
Roztwórzcie łona! niech z waszych łon bryźnie
Zbawcza ochłoda gaszącej żar fali.
Na pomoc, na pomoc przestworom!

Powstały, lecą i — — — gorą!!

Powstały, kręcą się, lecą,
W pląsach, miotłach, wieńcach, wstęgach,
Ogniem zieją, ogień niecą
Na najdalszych widnokręgach,
A gdy wpadną w topiel wodną,
Ani bledną, ani chłodną,
Jeno nowe skier wylęgi
Z nich wywodzą, — przez zatopy
Ognistemi wieją snopy,
Z chmury złotych żagw i drzazg
Jarzęcemi pylą deszcze...
Trwajcie, płońcie jeszcze, jeszcze!
Bierzcie ze mnie żar i blask —
Ze mnie płynie ognia fala,
Z kuźni płuc mych, z żądz mych pieca

Bierzcie, czerpcie, pijcie, żłopcie!
Ubytek mnie tylko podnieca,
Ubytek mnie tylko rozpala.
Jeszcze ówdzie szron i lód,
Jeszcze ówdzie czarne kopcie —
Z piersi moich ognia cud
Bierzcie, czerpcie, pijcie, żłopcie...

Piją i żłopią nienasytne mroki,
Jednemu mnie dostępne brodła —
Piją i żłopią nienasytne ciemnie,
Wylewam z siebie światła potoki
I jednej kropli nie ubyło ze mnie,
I żądza nie ochłodła.
Wylewam z siebie blasków strumienie —
Płyną a płyną, noc ich nie schłepce...

(str. 9, 10)

Jakim się sposobem wody mogą „palić"? Owszem, jest to nie tylko zupełnie możliwe, ale jakąś prawdą. Czyliż nieraz nie widzieliśmy tego, tak jawnie, jak np. czujemy jawnie ból, kiedy się sparzymy? Wtedy powiemy, iż nas woda „gorąca sparzyła". I dlaczegóżby powiedzenie dotyku miało być prawdziwszem niż powiedzenie wzroku? „Parzy" czyli „jest gorące", dlaczegóż miałoby być wyższem niż „świeci ogniem", czyli „pali się"? Czy dlatego, że do prawdy życia praktycznego potrzeba, ażeby dostarczone były dane wszystkich zmysłów i jeszcze dane pośrednie, jak np. świadomość, że tam gdzie ogień, następuje synteza chemiczna tlenu z innym jakimś pierwiastkiem?

Ale jakaż jeszcze nieskończoność procesów dzieje się na każdym kroku, przy każdem zjawisku, o których nic nie wiemy, a nazywamy zjawiska wcale się o tę nieskończoną ich resztę nie troszcząc? Dlaczegóżby więc poza życiem praktycznem, na wywczasach, nie wolno nam było każdej chwili dowolnie upraszczać sobie — (lub wzbogacać!) — nasz świat, nazywać go sobie wedle tych uproszczeń — (które są wzbogaceniami!) —, tych wyrobów naszego lirycznego widzimisię? To jest prawda poezji, wolnej od obowiązku walki o byt.

Do lirycznego przeżycia pożaru wód, poeta, zgodnie ze swym obudzonym już zamiarem kosmogonicznym, dodaje swe „racjonalne" mitologiczne wyjaśnienie: Wody po to stworzono, aby ugasić pożar chaotyczny pierwoświata; idzie w tem zresztą drogą starych mitów, ale i drogą nauki, która przypuszcza ogień wcześniejszy na ziemi od wody. Niestety w drugą obrócił się świat ostateczność; zaraz zobaczymy jaką. A teraz w góry idźmy z człowiekiem-poetą.

DUMA GÓR:

O wy, nadchmurne, niebolotne,
Przedwieczne, niezniszczalne,
Nieujarzmione i samotne
Wyżyny moje skalne!
O wy, przełęcze, turnie, granie,
Upłazy u krzesanic,
Wy moje pierwsze miłowanie
Bez granic!

Że otrząsnęłyście ze siebie
Gnuśność iłu, gnuśność gliny,
Żeście wzgardziły snem ziemi,
By czoła kołysać w niebie,
Z gwiazdami mówić złotemi —
Kocham was od tej godziny!
Żeście nie chciały na odmętach
W poziomych leżeć pętach
Poziomego bryłą gruntu,
Jeno wyniosły z głębiny
Fermenty i zaczyny
Pierwszego buntu —
Kocham was od tej godziny...

Wy moje i jam wasz!
Wasz dzisiaj w czynu godzinie
I jutro —
Jutro, kiedy po czynie
Mozołem ocieknie mi twarz
I może zechcę wytchnąć po znoju,
Całą mą istność pośród was rozpostrę,
Oddam się wam pod straż...

(str. 13, 14)

Skąd taka duma u gór? Poeta wie skąd, boć przecie on i góry to jedno. Góry dźwignęły się jako protest przeciw lenistwu; a lirycznym symbolem lenistwa jest moczarzysko; więc góry są protestem przeciwko moczarom nieruchawym, nieruchawości moczarnej; a teraz mitologja łączy to epicznie i przyczynowo: te wody co miały chaos gasić, naprzód się za-

paliły same, ale ostatecznie jakoś ostygły i zagasły i po całem przestworzu rozlały się w „straszliwe bezedno“, stęchłe i leniwe. Nad niem zadumał się duch leniwo. Ale miałżeby moczar być kresem rozwoju, sensem rzeczywistości? Przenigdy! Z dna moczarów ziemia się wyniosła, a dumą ziemi — góry.

STWORZENIE ZIEMI:

Czekałem długo... Łęg rozmokły
Lenistwem ział, jak wprzódy;
U stóp się moich czasy wlokły
Wiekami sennej żmudy.
Czekałem długo ponad rząpią —
A wtem rozgrzmiały prądy:
Niech wszystkie wody w jedno miejsce zstąpią,
A z wód niech wyjdą lądy!
Przeklęty żywioł, który drzemie,
Kiedy ja czuwam i tworzę —
Spłyń w swe łożyska szumne MORZE,
Spłynąwszy ukaż ZIEMIĘ

I stało się tak. Pojrzałem w dół
Na męty, szumy, piany, wiry,
Oślizły naprzód wychynął muł,
Czczy piasek i czcze żwiry,
Oślizły naprzód wychynął ił
I ciężkich glin zakalce —
Próżno się miotał nurt i wył
W zażartej z niemi walce,

Próżno bałwany na nie żwał,
Grzbiet deptał, chłostał pianą —
Nieulęknioną, dumną ścianą
Z wód wyszły zręby skał.

(str. 12, 13)

Jak nad morzem tak i w górskiej ciszy zatrzymuje się czas:

W GÓRACH:

Nad głową turnie ostre
Na lazurowym postoju,
Dalekie, ciche szczebioty
Roztajałego lodowca —
Nad niemi tęczy namioty,
Pod niemi siklawic grzywa.
Sam śród skalnego manowca
Jedyna istność żywa —
Nade mną tęczy namioty,
Pode mną siklawic grzywa,
Czas wstrzymał rącze loty,
Chwil drobne rwą się ogniwa —
Nad niemi tęczy namioty,
Pod niemi siklawic grzywa.
Wieczności pieśń — cisza — spływa
Z błękitów nieba w pierś moją,
Sny mi się dziwne roją...
Nad głową turnie czarne
Na lazurowym postoju;
Niebo w ramiona garnę,

Piję i piję ze zdroju
Samotni, ciszy, spokoju, —
O, te wywczasy...!

(str. 14, 15)

I w górach można zleniwieć, zasklepić się w sobie; a tymczasem duch życia, który jest w człowieku (i świecie) tak proklamuje:

Ja nie znam, ja nie chcę wywczasów!
Żyję jedynie, gdy tworzę!

Wszystkie niedopełnione możliwości czekają na swe urzeczywistnienie, czekają jak energja potencjalna wody spiętrzonej, tamą przymkniętej:

Precz rygle, precz więzy zasuw!
Swiat cały w otchłani czasów
Czeka, aż zdejmę obroże
I pchnę go w kręgi bytu.

Trzeba coś nowego zacząć i wyłonić. Oto więc pierwogóry, czasem strawione (z geologją zgodnie) w glebę się czarną obróciły, „jałową, niekształtowną, ranami spiekłych szczelin wymowną", a w trzewiach gleby wylęgło się życie roślin. I znowuż lirycznie, znowu z pamiętnika własnych przeżyć: Któż jest ten młody, wyuzdany bóg-niszczyciel pośród puszcz stworzonych przez siebie, jak nie rozszalały wesołością

wiosenną chłopiec na łące, niszczyciel traw i ścinacz kwiatów? Ale ten stwórca puszcz to może i w pamięci poety obudzony człowiek pierwotny, potężnie wybujały? To wszystko razem jest prawdą.

RADOŚĆ W PUSZCZY:

Szedłem przez liścia zawieję,
Przez cetyn dżdże i ulewy,
Pomiędzy najgęstsze trawy,
Pomiędzy najgęstsze krzewy.
Smagan przez łjanów wicie,
Przez rózgi wiklin i osty,
W nieznane wdzierałem się życie.
Naoślep gnałem skroś krwawej
Rozkosznie bolesnej chłosty,
Bo rozkosz była w męczeństwie.
Włos mi się darł kędzierzawy,
Twarz mi się darła na strzępy
Raniłem goleń o kłącze,
A kiedy w chraść się zaplączę,
Zębami rozrywam bluszcze,
Piersiami przepruwam gęstwie —
I w coraz dalsze ostępy
I w coraz dalsze puszcze
Zapadam, zanurzam się, tonę
W szumiące morze zielone.

Dalej pokotem paprocie!
Pokotem masztowe skrzypy!
Chcę tarzać się na pokocie,

Złote wytrząsać osypy,
W osypów tych pląsać złocie —
Pokotem skrzypy, paprocie!

I zasię zrywam się z ścierni
I wichrem w gęstwi ponoszę —
Czy dębów bór się wkrąg czerni,
Czy polan nęcą rozkosze,
Rękami, jak kosą, koszę,
Stopami miażdżę, jak młotem —
Jako źdźbła traw na pomieci,
Las się obalił wykrotem,
Deszcz kwiatów z pod stóp mych leci,
Pęki róż, lilij, sasanek. . .
I wieczór zastał mię na tem i ranek —
I tak dokonan dzień trzeci.

(str. 16, 17)

Tak urocze jest królestwo Flory, tak rozkoszne, w fantastyczną rozmaitość linij, barw i woni tak bogate, że łatwo się w niem rozkochać aż do słodkiego uśpienia. Oto co duch czynny i twórczy czuje wobec każdego piękna wyłącznie hedonicznego — i oto dlaczego przyroda nie poprzestała na roślinach:

POKUSA KWIECIA:

Dokonan trzeci dzień poza mną leżał już
I falą wonnych tchnień i szumem kłośnych zbóż
U kolan mych się łasił,
U nóg się moich wił, hosanną pod nie słał,

Czadami woni bił, chcąc uśpić żądz mych szał
I wierząc, że mych sił już zasób we mnie stlał
I strawił się i zgasił.

Że wątłe kwiaty łąk, mlecz złoty, rudy szczaw,
Wanilji wonny strąk, pień cedru czy źdźbło traw
Jest wszystkiem już, co zdołam, —
Że im wystarczy róść, wystrzelić w barwny kwiat,
By mą nasycić czczość, bym uznojony padł
Z okrzykiem słabych: dość! — że w nich mój cały świat,
Że triumf już obwołam.

Ty lichy płodzie ziemny, ty lichy, ty bezruchy!
W istności swej tajemnej wiesz, o czem twórcze duchy
Śnią?

A wiesz, gdzie wola twórcy sięgnie
Na jaką głębię rzuci sieć?
Może w otchłaniach gdzie zastrzęgnie
I taki straszny twór wylęgnie,
Że poczniesz liściem drżeć i mdleć!

A wiesz, gdzie wola twórcy padnie,
Kędy zarzuci oścień swój?
Może aż w niebo się zakradnie
I zbudzi w niem ukryty na dnie
Dni przyszłych żywy zdrój?...

(str. 17, 18)

Wspaniałym wierszem pokusę kwiecia odrzucił poeta — i stworzył słońce... Coprawda, niebardzo to

logicznie i pod względem geologicznym, którego też się, jak już widzieliśmy, chce trzymać, i pod względem lirycznym: bo jak myśleć lirycznie o kwiatach, nie myśląc o słońcu, w którem się kwiaty cieszą? Ale poeta trzyma się tradycyjnego mitu *(Genesis I.)*, który tu nie zgadza się z jego mitologją liryczną; lecz pomińmy to słabsze kompozycyjnie miejsce; ciekawy jest sam opis stworzenia słońca: znowu przykład bardzo znamienny, jak przeżycie liryczne (estetyczne) zostało z prawdziwym poetyckim dowcipem (t. j. pomysłowością) użyte mitologicznie: Słońce zwycięża chaos — tak mówi mitologja poety, ale ten chaos to są te mgły gęste, z których po wschodniej stronie nieba wzniesie się ognisty krąg: (nawiasem powiedziawszy, ten właśnie opis po raz pierwszy nasunął przedmówcy ów „chwyt“ krytycki, że poemat *Na głębiach* to mitologja nanizana na lirykę):

STWORZENIE SŁOŃCA:

Gdzieś hen! na krańcach nieba
Spostrzegłem, jak śród mgieł chaosu
Płód nowy się koleba —
Mój płód!
Zrazu go chciał uwięzić wschód
Płachtami chmur i mgieł:
Z tumanów białe sieci prządł,
Na złoto białe chmury mełł,
Z zmielonych chmur złocisty ląd
Pod stopy jego słał.
I była chwila, krótki błysk,
Że ciemnej głąb czeluści,

Zdawało się, już nigdy go
Ze szpon swych nie wypuści.
I była chwila, krótki błysk,
— Mnie wiekiem on się zdał —
Że mgieł przemożny tłum i ścisk
Miał zdusić go swą ćmą.
I była chwila... gdy w tem oto
Pięć złotych mieczów nad ciemnotą
Błysnęło wzwyż, błysnęło wszerz
I żarkie złoto z złotych dzież
Poczęło się kaskadą lać
W olbrzymią wiecznych ogni kadź
I nad horyzont, nad mórz łęgiem
Wybiegło wirującym kręgiem
SŁOŃCE.

Patrzajcie: dziw! — zagrzmiało z łąk,
Patrzajcie: dziw! — zagrzmiało z niw,
Patrzajcie: dziw! — zagrzmiało wkrąg
Od mórz, od gór, od kniej.

Patrzajcie: wid! — zahuczał las,
Patrzajcie: wid! — zahuczał szczyt,
Kto żyw, przywdziewaj krasę kras
I hymn pochwalny piej!

Więc najpierw lotne mu obłoki
Przybiegły pokłon dać i cześć —
I spojrzał na nie złotooki,
I spojrzeń tych nie mogły znieść.

Więc zasię góry spośród siebie
Wysłały najroślejszy szczyt —
I wstał lecz wstrzymał się w półniebie,
I oblał go rumiany wstyd.

Więc jeszcze morza modre głębie
Podbiegły doń z hołdami fal —
On w brzegów wstrzymał je obrębie,
Sam w niebios pomknął dal.

(str. 20, 21)

Kto stworzył słońce — ten sam jeden zdolen uczcić je hymnem godnym tego stworu (lub jak egzegeza „hermeneutyczna“ wykłada: Kto zdolnym tak je wielbić, tak się „wczuć w słońce“, ten widocznie brał udział w stworzeniu słońca...).

HYMN O SŁOŃCU:

Więc któż cię, kto cię uczci godnie,
O słońce?
Czy może błahe ros pochodnie
Na kwiatach łąk płonące?
Czy może stepu szumne dreszcze?
Czy wirydarze hal?
Czy złote śród listowia deszcze
Lub w blask spowita dal?

Ja jeden tylko, ja jedynie
Pieśń godną ciebie znam —

Zaśpiewam ci ją sam.
Patrz w oczy moje, patrz mi w twarz,
Złoty swój puhar zanurz we winie,
W perlącem się winie życia.
Ty mnie swój puhar dasz,
Ja tobie głos mój dam!
Ja tobie pieśń mą dam!

Z słoneczną czaszą w dłoni
Na góry, na wyże, na szczyty,
Gdzie oko, gdzie myśl nie dogoni,
W błękity —
Gdzie jeno ja i ty,
Ja — twórca twój, ty — świata pan!

Libacją złotych strząsam pian
Nie tobie, wszechżycia czaszo,
Nie sobie, nie na cześć naszą —
Otrząsam ją, na wiatr rozlewam,
Na wichry, na burze śpiewam,
By śpiewać!

Nie dbam, że pośród ogromu
Pieśni mojej nie ma komu
Słuchać.
Nie śpiewam jej dla nikogo, —
Z ukrytych w mej istności min
Wybucham, bo chcę wybuchać,
Bo to mój żywioł, mój czyn!

Cokolwiek z mroku dzień wyprzędzie
Cokolwiek było, jest, lub będzie,
Jest złudą marną, — to tylko sen,
Ulotne echo, zwiewny cień
I majak, co się prześni, —
Jeden jest tylko rdzeniów rdzeń:
Wszechwładne słowo pieśni,
Co niebytowi grzmi: niech będzie!
Niechaj się ucieleśni!
Jeden jedyny rdzeniów rdzeń
I czynów czyn i bytów byt —
Byt twórcy.

Dalej na szczyt! na szczyt!
Do ust mych, słoneczna czaszo!
Ile jest mocy w tobie,
Wypiję do dna.
Do ust mych czaszo miodna —
Złakniony-m twoich win.

Jak one krzepią, jak one silą,
Jak one poją, jak one gaszą
Pragnienie moje!
Tak mocnych, tak słodkich win
Nie piłem nigdy jeszcze...

Jak one poją, jak one koją,
Jak one rzeźwią, jak one silą
Pierś moją!
Tak mocnych, tak słodkich win
Nie piłem nigdy jeszcze...

Trwaj mi, upojna trwaj chwilo!
Niechaj się tobą napieszczę...
Na szczycie szczytów stoję
I winem światowładcy, i winem światoburcy
Pierś poję!

I żadnych ofiar, żadnych wian,
Ni hołdów nie pożądam.
Dość mi zaprawdę, że mój byt twórcy
W całej potędze oglądam —
Dość mi, żem twórca i władny pan
Nad bytem i niebytem —
Złotych strząsnąłem libację pian
I wolny mknę błękitem.

Skończony śpiew — precz czaszo z rąk! —
Jużeś mi pustą czarą,
Rzuciłem moją pieśń obszarom...
Leć słońce, tocz swój krąg!

(str. 21—24)

Hymn ten jest wyznaniem wiary twórczego spirytualizmu: Naprawdę rzeczywistem jest tylko to, nieuchwytne i niecielesne, co tworzy i stwarza; a co uchwytne i cielesne, utworzone i stworzone — to tyle, co majaki senne. Jakim się to jednak dzieje sposobem, że wkońcu i słońce znudzi duszę?... Bo słońce nie ma wolności, jak automat chodzi po swojej owalnej, raz na zawsze matematycznie wytyczonej linji:

Choć ono jutro na niebie zawiśnie,
Roziskrzy się na błękicie —
Już ani wielkie będzie, ani dumne,

Już po wskazanej orbicie
Nieodmiennie i bezmyślnie
Nad krawędzie, pod krawędzie
Raz puszczone w ruch — biec będzie . . . . . .

Podobna wzgarda dla automatyzmu gwiazd, co w sławnym o gwiazdach wierszu Tadeusza Micińskiego: *„A gwiazdom odparł królewski duch; Wam przeznaczono okrężny ruch; mojej wolności dowodem błąd“* i t. d. I, nawiasem powiedziawszy, jak z tym prometeizmem człowieczeństwa, wybijającego się ponad mechaniczną przyrodę, niezmiernie daleko jesteśmy od owej starej, pogodnej wizji świata, w której *„Miłość słońce porusza i inne gwiazdy“*...

Dość, że zgasło słońce, a na jego miejsce wyłonił się księżyc (zgodnie z chronologją biblijną):

PO ZMIERZCHNIĘCIU SŁOŃCA:

Dzień czwarty, czwarta noc. Przestwory
Dymiły wokół, żaden nie zawiewał
Rzeźwiejszy podmuch, stalowe kolory
Wyszły na niebo, zenit nieba ziewał
Gwiazdami. I nie wiem, czyli wzrok mój stępiał,
Czyli świat cały zszarzał tak i zsępiał,
Że w wypełnione mną patrząc przestwory,
Widziałem jeno pustkę na ciemnościach.

Dzień czwarty, czwarta noc, posępna, głucha,
Straszliwa noc w straszliwych czczościach,
W okropnych głodach ducha...

Patrzyłem w przestwór, w ciemną dal:
Najlżejszy nawet nie drżał listek,
Ziemię i niebo i świat wszystek
Szarą swą przędzą osnuł żal.

Patrzyłem w przestwór, w dal... A może
Zabłyśnie jeszcze na przestworze,
Z uwięzi mroków się wyśliźnie,
Tumanem pian złocistych bryźnie,
Rozgrzeje, olśni? Ach, daremnie
Chcieć życiem je obdarzać nowem,
Kiedy już zgasło, zmarło we mnie,
Twórczem zabite słowem.

Patrzyłem w przestwór, w pustkę, w siebie...
A tyż kto jesteś — tam, na wschodzie?
W kolistych tęczach mkniesz po niebie,
Srebrzaną łódką mkniesz po wodzie;
Przed tobą gwiazdy w korowodzie,
Za tobą chmur nawała, —
Twarz twoja trupio-biała
Szyderczą ku mnie tchnie litością —
Nie twoją, trupie, błękit włością,
Niebo nie twoją dziedziną!
Zimnych twych blasków zimne wino
Nie krzepi i nie syci. —

(str. 26—27).

„*Twórczem zabite słowem*": podkreślenie poety; co to znaczy? Chyba to samo, o czem poucza filozofja twórczości, która w nauce Bergsona tak dosad-

ną znalazła wypowiedź: że twórczość (życie, słowo twórcze i t. p). dąży naprzód poprzez wyrażanie się; ale każde wyrażenie jest już przeciwieństwem twórczości, bo jest zastygłą, ustabilizowaną, a w dodatku niepojemną formą. Jest to więc w istocie życia, że naprzód krocząc, znaczy swą drogę twarzami śmiertelnie blademi, bo z nich życie uciekło, jak krew wylana. W lirycznym sensie księżyc jest trupem słońca: więc w mitologji poety, przeklęte za swój automatyzm słońce, wraca księżycowemi zwłokami.

Coprawda mamy tu znowuż, przy symbolicznej głębi pomysłu, kompozycyjny błąd. Bo choć biblijna chronologja, do której chciał się poeta zastosować, powiada, że po słońcu stworzono księżyc, ale nie powiada, że ze słońca stworzył się księżyc, a tego i geologja nie mówi, którą także poeta był zaprosił do swej kosmogonji... Mit księżycowo-słoneczny, dobry przez swą metafizyczną symbolikę, jest w poemacie całostką autonomiczną, która weń włączoną została poniekąd przymusem. Ale dalej idźmy. Piękny jest opis księżycowej poświaty, a jak się dobrze przy księżycu duma, tak i stwórczy duch, po stworzeniu księżyca o nowej zadumał twórczości:

SNY KSIĘŻYCOWE:

Patrzyłem w mroczną pustkę, w siebie...
I dziw mię zjął, że słowa gniewne,
Miasto napełnić przestwór złością,
Dźwięczały miękkie, drżące, rzewne,
Toczyły się jak łzy po niebie,
Jak echo bólu, jak cień żalu

I omotane w srebrne nici
Wsiąkały zwolna w sen z opalu,
W kryształną ciszę, co z miesiąca
Spływała lotna, jasna, czysta,
I łzy i ból i żal kojąca,
Kryształna cisza promienista.

I popłynąłem na jej fali,
Jak puchy chmur na wichrze,
Coraz gdzieś głębiej, coraz dalej
W okręgi coraz cichsze.
Poniosły mię jej nurty srebrne,
Potoki jej promienne
Nie wiem — w podniebne czy nadniebne
Krainy jawosenne . . .
Począłem śnić,
Wpółmarzyć i wpółczuwać,
Splątanych myśli wieniec wić,
Z kądzieli twórczej twórczą nić
Wysnuwać —

(str. 27—28).

Stworzony został świat zwierzęcy, ale jakże on miał zadowolić ducha stwórczego, kiedy ohydą są człowiekowi potwory pierwoświata; w obrzydzeniu człowieka wobec przyrody brzydkiej, jest coś z oburzenia moralnego:

SMOKI:

Kto wy jesteście, przerazy,
Szkarady wy i pokurcze?

Kto wy? wy sny me twórcze?
Wy snów mych twórczych obrazy,
Piękności one, w snach widne,
Piękności niewysłowione!
Wy tak mierziwe, ohydne,
Tak wstrętne, tak splugawione
Szpetotą, dla której nazw niema —
Wy snów mych ucieleśnieniem,
Twórczości mej wyzwoleniem
Wy?!

Precz, precz ode mnie
W otchłań, w mrok, w ciemnie!

(str. 32).

Duch przyzwał na pomoc wichry północy, i znowu, z pasją oddany obraz ich gonu, świadczy o swojem konkretnem t. j. przeżyciowem podłożu:

GON WICHRÓW PÓŁNOCY:

Wypadły, lecą, śniegiem miotą.
Przed niemi ziąb, za niemi szron —
Chwyciły świat w lodowy szpon
I duszą go i gniotą.
Z jaką rozkoszą one dławią,
Z jaką lubością one duszą,
Nawet nie drasną, nie zakrwawią,
Tylko rozwiodą zimne szkliwa,
Tylko włóknami z szkła oprzędą
I ścisną je i szronem sprószą,

Najmniejsze im nie ujdzie czędo
I nikt nie zgadnie, że tam żywa
Istota kiedyś była na dnie.
Z jaką rozkoszą one dławią,
Z jaką straszliwą lubieżnością
Chwytają wszystko w mroźne kleszcze,
Jak skrupulatnie, jak dokładnie,
Jak wprawnie, zręcznie . . . Jeszcze, jeszcze!
O tam, ot tam, pod płaszczem mgły
Chce umknąć jakiś ptaszek mały.
O tam, ot tam ostatkiem sił
Szkarłupień jakiś mniejszy pchły
Mackami swemi w muł się wrył.
O tam, ot tam pod liść zbutwiały
Chce skryć się kilka lichych mszyc!
A teraz nic już, teraz już nic . . .
Dokoła tylko przestwór pusty,
Spowity w białe śniegu chusty,
A teraz nic już, teraz już nic —

(str. 33—34).

Następuje opis zlodowaciałego świata, będący napewno reminiscencją alpejskiej jakiejś wędrówki:

NA LODOWCU:

Chodziłem sam pustacią białą,
Na strasznem chodził zwiady,
Lodowym się przyglądać zwałom,
Widokiem paść zagłady.
Chodziłem sam skroś tuman gęsty,

Gdzie księżyc nie śmiał wkraść się,
Gdzie jeno szklistych szczelin chrzęsty
Dudniały przez przepaście, —
Gdzie jeno mróz soplistym kłem
Piętrowe głazy chwytał
I rozłupywał je swym tchem
I rozłupując zgrzytał.
Chodziłem sam przez gołoledzie
Po śnieżnych burz rozbluzgu
Omyć w nim ducha czarne śniedzie,
Co lęgły się w mym mózgu,
Bo lęgły się zaiste!

(str. 34)

Nad światem lodów zakwita tajemnicze i wspaniałe światło, ale światło zimne... (Przypomnijmy sobie, że Maciej Szukiewicz jest dzieckiem Skandynawji... *(2)*.

ZORZA POLARNA:

Błądziłem sam przez gołoledzie,
Gdy wtem nieznany świt,
Zielony — jakim płoną miedzie,
Czerwony — jakim płonie lit,
Rozrzucił włosy na niebiosy
I tęczą na nich trwał.

. . . . . .

Na ciemniach rozpiął zorzy łuk — —
Dla kogo są te bramy?
Dla kogo drzwi te otworzyste,

Tak niebosiężnej miary,
Że tylko jedne moje bary
Przez takie chodzą wrota?
Dla kogo drzwi te otworzyste?
Któż drugi takiej sięgi?
Jakież śmią mierzyć się potęgi
Z potęgą wszechżywota?

Sensem lirycznym zorzy polarnej, światła dziwnego i martwego, jest Śmierć:

A więc to ty na majestacie?
A więc to ty, olbrzymi cieniu!
Śnieżne brylanty na twej szacie,
Nagie czerepy na ciemieniu,
Zakrzepły uśmiech pośród szczęk,
Miast berła w dłoniach — kośna żerdź,
Miast róż — snorodnych maków pęk...
Poznajęć: tyś jest śmierć.

(str. 35)

Z nastroju w symbol filozoficzny, w odzieniu mitycznem:

ŻYCIE I ŚMIERĆ:

Poznaję cię i wyciągam me dłonie do ciebie,
Potężny cieniu mego ducha,
Mojego ducha przeciwwago,
Potęgi mojej przeciwpotęgo,

Dopełniająca mnie i dzieło moje,
Przepiękna druhno moja!
Z tobą ja jedną włościami memi w przestworach
Bratnio się dzielę i bratnio włodarzę.

. . . . . .

Dyktujem prawa bytu i niebytu.
Jesteśmy jako światłość i ciemność, jako dzień i noc,
Jako dłoń prawa i dłoń lewa;
Co światłość gusłami swemi wyczaruje, to ciemność [unicestwi;
Co dzień urodzi, to noc poroni,
Co stworzy prawa dłoń, to lewa dłoń zniweczy,
Co wzbudzę ja, ty gasisz swoim tchem,
Coś ty zgasiła, ja rozpalam znów, —
Tak władze nasze bratnie są i równe.

Lecz kto z nas dwojga alfą i omegą,
Ostatecznością wszechostateczności —
Ja nie wiem, i ty tego nie wiesz.
Ja nie wiem i ty nie powiesz,
Czy mojej dłoni czyn jest dziełem,
Czy dziełem to, co sprawi twoja dłoń.
Mój-li, czy twój siew nad otchłanią czasów
Otrwa się z swym owocem?

. . . . . .

za nami, za mną i za tobą
Nic,
A wszystkiem wieczne zmaganie się nasze
I przeraźliwa ta w obojgu rozkosz:
U mnie — gdy tworzę, u ciebie — gdy niszczysz.

Łasym ja na tę rozkosz przeraźliwą,
Jako i tyś jest wiecznie łasą na nią.

Sam chciw jej będąc, dam ci tej rozkoszy
Całą bezdenność, całą nieskończoność,
Cały jej bezmiar!
Bo odkąd tyś jest ze mną, druhno moja,
Dzieło me każde jest jeno etapem
Żądz mych, lecących w nieskończoność czasów, —
Bo odkąd jesteś, druhno moja, przy mnie,
Nie widzę kresu dla mych twórczych lotów,
Ani hamulca dla mych twórczych ramion,
Ani wędzidła dla mych twórczych chuci, —
Bo odkąd tyś jest ze mną, druhno moja,
Ramionom moim nie zbraknie tworzywa,
I mogę brać je i miesić i kruszyć,
Mogę przetapiać, przelewać, przekuwać,
Mogę mą wolą z pod całunów lodu
Dobyć dla ciebie ogrojce rozkoszy
I twoją kojąc własną sycić łasość,
Moich i twoich żądz uśmierzać głody.

(str. 38)

Więc teraz już nareszcie pojęliśmy: Wszystko co żyje, zasługuje na śmierć, bo nic co jest, nie zasługuje na to, by być wiecznie; albowiem wszystko co jest, jest niedoskonałe; ale niedoskonałe jest wszystko co się stało, bo wszystko, co się staje, jest uboższe i lichsze od wszystkiego, co jest jeszcze możliwe; a temu co możliwe na imię: Nieskończoność. Takie jest usprawiedliwienie śmierci. Dobrze, że jestem. Ale tem samem, żem jest, powinienem przestać być. Taka jest pociecha śmierci. Ale od tej pociechy wraca się z kamienną twarzą.

A po literacku już mówiąc, to Szukiewicz prowadzi nas nad głębię tego samego, w ideowem znaczeniu,

pesymizmu, co Ibsen ze swoim „przelewaczem guzików“, z *Peer Gynta*...

Ale dalej i dalej, naprzód idzie Życie! Teraz oto Wielki Garncarz wziął się do dzieła: Człowieka ulepi.

WIELKI GARNCARZ:

Pozierajcie, padoły i górce,
Jakom wartkich, jakom sprawnych rąk —
Garncarzowy oto chwytam krąg,
Mocarnego poznaj, glino, twórcę!

Garncarzowy krąg w mej dłoni warczy,
Jak grom błyska, jak lawina hurczy —
Wszystkiej gliny na świecie nie starczy
Dla okrutnej żądzy mojej twórczej.

(str. 39)

Do tej pory, jeśli stwarzał duch stwórczy, to dlatego, że sypał z nadmiaru swej własnej obfitości; ale kiedy człowieka sobie zamierzył, to ma jedną dziwną, szczególną myśl: stworzy stwór, coby się jemu sprzeciwił! Zanim zdał sobie sprawę, że zależy mu nareszcie na kimś, kto będzie naprawdę rzeczywisty, a nie jego własnym, od niego zależnym majakiem — zbudziła się w nim nieokreślona tęsknota; z tła melodyjnego krajobrazu zachodowego wywabia ją poeta:

TĘSKNOTA NADWIECZORNA:

[. . . Słońce . . . . . .]
Pobiegło na mgły kłaść zachodnie
Złote żagwie i złote pochodnie

I wysiewać promienie ukośne
Na topole i świerki wynośne,
I w rańtuchy spowijać je rośne
I utulać w sen słodki na kwiatach.
A daleko, wysoko w błękicie
Śród gwieździstych banderyj i watah
Cowieczorne, radosne szły wicie
O żywiołów spoczynku i mirze.
Jeszcze tylko spowite w mrok niże
Oddychały. Na sinym wód dymie,
Na wypełzłym z dna jarów oparze
Kołysały się w ciszy olbrzymie
Pozłociste nocy trybularze,
Siejąc wokół zapachy i wonie
Od ambr słodsze i od aloesu. . .
I zbudziła się dusza bezkresu:
Tęsknota.

Rozwichrzyła się nagle w mem łonie,
Niby ognia żertwiennego miotła,
Tem rozpaczna, że wszystko jej słucha,
Że niesforne żywioły ugniotła
W kształt dowolny i formę dowolną.
Wszystko mogę i wszystko mi wolno!
Dość mi było wyciągnąć w mrok ręce,
Aby chaos w ż lazne wgnieść karby —
Dość zawołać, by gwiazdy jarzęce,
Wszystkie światła i blaski i farby,
Wszystkie morza i wszystkie ostrowy
W kształt się zbiegły skończony, gotowy,
I potulnie skończonemi dzieły
Stanęły.

A ja buntu, oporu chcę, znoju,
W gromach trwać chcę i w burz zawierusze,
Wieczystego z łomem szukam boju,
Szukam go przez wszystkie bytu kręgi,
Aż go znajdę, wykrzeszę, wymuszę
I wyzbędę się władnej potęgi
I niewolę wszechmocy mej skruszę.

(str. 40, 41)

Symboliczna ta tęsknota jest tęsknotą za rzeczywistością; bo dopiero wtedy czujemy się rzeczywiści, kiedy napotykamy dookoła siebie rzeczywistość, kiedy ze świata snu wchodzimy w świat jawy; ale rzeczywistość, to nadewszystko, tak przynajmniej przyjmijmy tu dla tej interpretacji, opór czegoś, co jest od nas niezależne. Stwórca nadał naturze prawa i przyczynowość, ale w pełni rzeczywistym poczuje się wtedy dopiero, kiedy się znajdzie ktoś, kto prawa te nadszarpnie, z własnej swej przyczynowości wyszarpnie się. Ten będzie nazywać się „człowiek". Oryginalna to w swej pomysłowości egzegeza religijnego dogmatu o wolnej woli. To co się zowie grzechem i nienaturalnem, jest wobec tego zamierzone przez Stwórcę. Religja powiada, że w wolnej woli mieści się możliwość unikania złego. Jest to zagadnienie natury logicznej, w które nie będę wchodził, trzymając się zadania literackiego, jakiem jest uprzystępnienie utworu czytelnikowi, nie mającemu czasu wdawać się w jego analizę. Stwierdzę jednak tyle, że mamy tu do czynienia z filozofją lub teologją, która, logicznie rozwinięta, nie byłaby całkiem bezpieczną. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w średniowieczu, w którem myśli metafizyczne bierze się ze śmiertelnem na serjo; taki poemat jak

Szukiewicza mógłby być ezoteryczną księgą demonicznej herezji: Płodzić i niszczyć, niszczyć to zwłaszcza, co jest najdoskonalsze w sobie, najtrwalsze, najpewniejsze siebie, najspokojniejsze — a także uprawiać wszystko, co się „sprzeciwia naturze“ — bo tak właśnie służy się Bogu Nienasyconemu, w Dwójcy Życia i Śmierci... Wogóle, każda t. zw. filozofja twórczości jest w ostatniej swej, niekoniecznie nawet świadomej intencji, niecenzuralna.

I może dlatego poeta, co w takiej filozofji duchu poemat swój utworzył, ma na swem nawskróś sarmackiem obliczu coś ze szlacheckiego djabła Boruty?... Boruta kawalerem był nietylko wielkiej fantazji, lecz i zamyślonym i melancholijnym... Ale to półżartem...

*

Czy na dnie miłosnego pragnienia niema tej samej metafizycznej tęsknoty? Pragnienia, żeby było TY, coś co jest takie jak JA, ale jednak nie JA, owszem przeciwstawne mi, niezmiernie rzeczywiste, całkiem osobne — ale które kiedyś, przez wspaniałe zaprzeczenie tej osobności zjednoczy się z JA? Nie będziemy tego rozwijać, ale faktem jest, że odmienność płci i możliwość płciowego obcowania z płcią odmienną, obcowania, które jest najdosadniejszym symbolem posięścią, — że to sprawia, iż tęsknota za TY obraca się potężnym pędem ku płci drugiej. Opór przeciw posięściu powiększa dystans pomiędzy dwoma biegunami: JA i TY, i tem rewelacyjniejszem czyni połączenie. — Myślę więc, że w zgodzie z intencją autora poematu będzie, jeśli przypuszczę iż taka lub podobna myśl w nim była, kiedy duchowi stwórczemu, gdy zapragnął mieć przeciwko sobie, z wiadomych już po-

wodów, człowieka, każe naprzód ulepić sobie z gliny ziemię-małżonkę (przyczem nb. Stwórca biblijny uległ kontaminacji z Pigmaljonem i z mitami o Ojcu Niebie i Matce Ziemi):

ZIEMIA MAŁŻONKA:

Nuże, ręce, a żywo do dzieła!
Nie czujecie-ż, jak glina skroś drgnęła?
Nie słyszycie-ż, jak żądna mej mocy
I wraz trwożna spowiada się nocy:
»Czarnam-ci, ale wdzięczna«.

Wdzięczna jesteś, choć czarna i śniada,
I nad wszelkie wywyższona wzgardy.
Oto godów noc, oto biesiada,
Niech wydają swą woń szpikanardy.

Jeszcze dotąd ją czuję i pomnę,
Jeszcze dotąd mi noc ta pamiętna.
Wokół tchnęła woń ambry poświętna,
W górze gwiazdy migały stupłomne,
Ale żarem swym nie tak ogromne,
Jako we mnie me pulsy i tętna.
Wyciągnąłem me ręce, jak macki,
— Ciszej skrzydłem nie wieją puhacze! —
By się wymknąć nie mogła z zasadzki,

Nim ramieniem ją mojem osaczę,
Ani uciec mi gdzieś w zaobłocze,
Zanim wskroś ją zbrzemienię i stłoczę.
Zaskoczona mą siejbą ofiarną,
Zrazu zerwać się chciała z arkanów,
Płaszczem ciemnej nakryła się nocy,
Skalnem żebrem broniła uścisku,
W oczy pianą bluzgała mi czarną —
Aż nareszcie uległa mej mocy,
Aż poczuła się ze mnie ciężarną,
Aż z nabrzmiałych jak sutki wulkanów
Krew strzyknęła, a w dziewczem łożysku
Drgnął płód nowy, krew z krwi i kość z kości
Nicestwa i wszechmocności.

Oto czem jest człowiek, płód Ziemi i Ducha, paradoksalny twór:

O patrz, popatrz, wylękła spójrz maci
Na płód żądz mych, zrodzony z twych glin!
Duchem — mojej to obraz postaci,
Ale ciałem twe dziecię, twój syn.
Z ciebie weźmie on glin twych ospałość,
Materjalną wszechrzeczy ułomność,
Ze mnie woli szaleństwo i śmiałość
I mych myśli straszliwą ogromność.

(str. 41, 42).

Zaczyna się mit o człowieku, który się już nie na liryźmie estetycznych z przyrodą doznań oplecie, ale na liryźmie doznań moralnych.

W poezji jak we śnie: Obowiązuje logika tożsamości powszechnej. Stwórca jest stworzonym, wszyscy stworzeni tym pierwszym jednym stworzonym — więc i Stwórcą... Jest to zresztą ta sama tożsamość, którą przyjmuje panteizm.

Pogodny poranek letni w okolicy podgórskiej, pod dalekiemi stromemi skalicami rozciągają się w dal błękitną i zieloną pagórki łagodne, łąki miłe i gaje pełne słodkiej tajemnicy i cichych, szemrzących ruczajów — jak na tych dalekich, cudownych i rajskich tłach w obrazach dawnych mistrzów. W tym raju z uśpienia budzi się Stwórca-Stworzony — (a napewno tym samym gestem, co ów piękny i potężny Michała Anioła Adam w Sykstyńskiej kaplicy):

W RAJU:

Leżałem sam jeden,
Samiuteńki, — dokoła mnie Eden
Na roztokach, nade mną drzew gwary,
Tajemnicze zwidzenia i mary.
Świt gdzieś wstawał. Z snem jeszcze pod rzęsą
Drzew słuchałem, jak liściem swym trzęsą,
Jak nim szumią i słodko łopocą.
Obco jeszcze mi było, sieroco,
Ale lubo.

Leżałem sam jeden,
Samiuteńki, — dokoła mnie Eden
Pełen ciszy, tajemnic i czarów,
Cały w kwiatach i woniach i rosach.

W dali ścianą posępnych wiszarów
W wypiętrzonych nad chmury odciosach
Dumał Kaukaz śniegami szedziwy,
W kędzierzawych grom warczał mu włosach...
O ta krasa, te cuda, te dziwy!

(str. 44)

Obudził się ze snu pierwszy człowiek i światu nadaje imiona braterskie i siostrzane — jak kiedyś po wiekach uczyni pod błogiem niebem Umbrji święty entuzjasta, kiedy sobie i ludziom przypomni niewinny raj dziecięcego bytowania:

CZŁOWIEK NAZYWA ŻYWIOŁY:

Wichrze-bracie! stań, muśnij me czoło,
Pierś opasaj, obejmij wokoło
Bracie wichrze —
Rzeko-siostro! ponurzaj mię w fali,
Płyńmy razem ku nieznanej dali
Siostro rzeko —
Lasy-bracia, cisz pełne i ptactwa,
Do waszego przyjmijcie mię bractwa,
Bracia lasy —
Łąki-siostry poszumne, pogwarne,
Ku wam, ku wam ramiona me garnę,
Siostry łąki —
Morze-bracie! bezbrodna ty wodo,
Dusz kołysko, ucieczko, ochłodo,
Bracie morze —
Chmuro-siostro nieścigła, polotna!

Jak śnieg biała, jak orzeł samotna;
Siostro chmuro —
I ty, bracie, acz dzielą otchłanie!
Oko nocy, gwiazd złotych hetmanie
A mój bracie,
I ty słońce promienne w błękicie,
Ty szafarzu, ty zdroju, ty życie —
Wszyscy, wszyscy wy ze mną brać mleczna,
Krasa wieczna i spasa ma wieczna!

(str. 45)

Entuzjazm człowieka dla przyrody miłej każe mu przypuszczać, że między nim a przyrodą musi być jakieś o wiele bliższe i wznioślejsze krewieństwo, niż czysto fizyczne (czyli materjalne); że i po tamtej stronie muszą być tajemne jakieś, żywe, człekopodobne psychizmy, boć tylko dusza i podobieństwo dusz może wywołać sympatję. Panteizm mówi, dla czego tak jest — lecz nietylko panteizm — wszak Franciszek z Assyżu, do którego nasz poeta w tym wierszu świadomie nawiązuje, panteistą nie był. Niestety, samnasam z przyrodą pozostawiony człowiek, zbyt rychło uczuje, że ten psychiczny i sympatyczny wyraz przyrody, jest jednym tylko, bynajmniej nie jedynym jej aspektem; wystarczy aby nadeszła noc ślepa, niebezpieczna i zimna, i spowiła świat w „czarne swe giezła“, żeby się człowiek uczuł wielkim samotnikiem pośród świata. A ta samotność ma sens symboliczny, bo nietylko biologiczny lecz i etyczny: Przyroda nie zadowala moralnej natury człowieka. I tu poeta akcentuje heroiczny tego niezadowolenia moment: Owszem, można sobie nawet względne bez-

pieczeństwo pośród przyrody zdobyć, czuć się tedy względnie szczęśliwym, sycąc się darami ziemi. Owszem, można przyzwolić na byt przyziemny, ale wtedy człowiek sprzeniewierza się swemu powałaniu, które to samo jest, co ducha stwórczego, który go wywiódł z nicości: nie zasklepić się w gotowem i skończonem, nie zleniwieć. Dlatego człowiek sprzeniewierza się matce ziemi, co go błaga i kusi, aby jej pozostał wiernym:

POKUSA ZIEMI i PROŚBA ZIEMI:

Zwolna mierzchły wyżyny i doły,
Noc wstała na morzu dalekiem
Tajemnicza, posępna i mroźna
I, spowiwszy świat w czarne swe giezła,
Przywaliła mię straszna i groźna
I poczułem, że jestem człowiekiem
I pod jarzmem tej myśli znów padłem.
Wówczas zewsząd — od gór i od morza,
Od wywierzysk spienionej roztoki,
Z usianego gwiazdami przestworza,
Z łąk i stepów i z fal i z opoki —
Ciszej zrazu, niż mgła nad mokradłem,
Szept się podniósł i drżał nad mą głową,
Pierś oskrzydlał i pętał mi duszę.
Tak się stało pierwsze do mnie słowo —
W przerażeniu-m go słuchał i skrusze:

»Dam ci wszystko, co wabi i nęci,
»Co rozkoszą nazywa się świecką —
»Tylko wieczność z swej wytrać pamięci,
»Tylko pomnij, żeś moje jest dziecko«.

»Nie poskąpię-ć posilnego ziarna,
»Co dnia rosą napoję cię świeżą,
»Jeno wyznaj, że — śniada i czarna —
»Byłam, jestem i będę-ć macierzą«.

»Dla mnie hymny i dla mnie obiaty
»I kadzidło i ofiara śniedna —
»Czoło w prochu, nie wdzierstwo w zaświaty
»I pokora, nie duma mię zjedna«.

»Uwielbiona — nadmiarem zarzucę,
»Odepchnięta — zemst krwawych dobędę
»I żywioły na ciebie podwrócę
»I macochą nie matką ci będę«.

»Ścieżkę twoją, co szłaby przez róże,
»Lasem cierni i krzyżów zasieję
»I zawiodę-ć na trupich głów wzgórze
»I dam mękę, odjąwszy nadzieję!«

(str. 47)

Ziemia odepchnięta grozi zemstą synowi. Ta zemsta spełni się:

WIDMO GOLGOTY:

Niebo się w ćwierci rozdarło
Krwawym krzyżem. A krzyż ten wstał ze mną,
Z moją twarzą, od trwogi zamarłą,
Z moją głową, cierniami spowitą,

Z memi dłońmi, wbitemi na ćwieki...
Mnież to włócznią bok prawy przeszyto?
Takim kres jest mej drogi dalekiej?
Teraz, ziemio, ty słowo słysz moje:
Tłuste ziarna i rzeźwe masz zdroje
I nie skąpisz mi twego dosytu
I słodkiemi są szczawy twe pitne —
Lecz mnie trzeba do życia błękitu,
Manny tylko mnie sycą błękitne!
Próżno hojnej otwierasz mi ręki —
Oto łaknę, jak niegdyś łaknąłem,
Niewymownie, bezbrzeżnie, bezmiernie!
Oto łaknę i pierś ma wciąż płonie,
Z upragnienia i ognia mam duszę,
Jednej kropli mi trzeba maleńkiej,
Jednę kroplę maleńką mieć muszę,
Choćby padło przez krew iść i męki,
Pójdę po nią na trupich głów wzgórze!

(str. 48).

W drogę na łysą górę Golgoty pójdzie Stwórca-Stworzony — i przyjdzie chwila, gdy powie: „Łaknę". — Zwracam tu uwagę Czytelnika na estetyczną i myślową głębokość tej kontaminacji własnego mitu poety, w stylu panteistycznym, z tradycją Pisma o śmierci Chrystusowej. Każdy człowiek jest Stwórcą-Stworzonym, bo każdy uczestniczy w mocy stwórczej, ale każdy jest zarazem jednym tylko z etapów twórczych tej mocy. W pierwszym sensie jest w nim coś z bóstwa, w drugim jest człowiekiem; w każdym więc jest bogoczłowieczeństwo. A Chrystus jest tym, który się ziemi najstraszliwiej sprzeniewierzył, — jest w Nim więc

bogoczłowieczeństwo najdoskonalsze, naturalnie z akcentem na bóstwo. A teraz dalej: Chrystus na krzyżu łaknie, jak „niegdyś łaknął, niewymownie, bezbrzeżnie, bezmiernie"... Kto to łaknął? On, duch stwórczy: bo na dnie twórczości jest to straszne i niewypowiedziane łaknienie — metafizyczny niedosyt życia, które wiekuiście coś nowego stwarza. Sposób w jaki poeta podsłuchał i pojął Jezusową skargę na krzyżu, jest nadzwyczaj oryginalny i myślowo poetyczny. Sprzeniewierzyć się ziemi i iść dalej — aż do Chrystusa — to jest spirytualizm heroiczny, w duchu, któryby przez chrześcijańską moralność zdeterminowanym był nawet wtedy, gdyby *explicite* mowy tu nie było o Chrystusie (coprawda w jakiejś bardzo modernistycznej interpretacji). Dalsza droga w tym kierunku wyprowadziłaby poetę z panteizmu a podprowadziła do teizmu chrześcijańskiego lub jakiegoś prawie takiego. Ale poeta nie zapomniał o swej filozofji twórczości z jej demonicznemi implikacjami... Wszystko woła o wszystko. Jest miejsce w świecie także i na grzech i zbrodnię, słowem: zło. W tym micie poetyckim zbrodzień Kain musi otrzymać swą wysoką rangę.

Poco Stwórca człowieka stwarza? Już wiemy: Ażeby był ktoś, kto się zbuntuje przeciw Niemu, kto Go zakwestjonuje w nadanych przezeń prawach natury. Perwersja twórcza odciśnie się perwersją Kaina. Kaina nudzi stały i niezmienny porządek naturalny. Coś go kusi do takiej jakiejś emocji niesamowitej, coby się wydała przeciwieństwem wszystkiego tego, co dobre i godziwe. Było dwóch braci i siostra, kochające się rodzeństwo pasterskie. Starszy brat wiedział jak potwornie przerazi i zgnębi litościwą Lilith, która nawet na śmierć niemego stworzenia nie mogła bez łez

patrzeć, jeśli zamorduje w jej oczach brata młodszego. Ale on pragnął tej rozpaczy, przerażenia i nieszczęścia, bo tylko one zdołałyby przerwać to monotonne nieruchome szczęście trojga dobrych pośród spokojnej i łaskawej natury. Wydobywszy ton nieszczęścia z błogiego życia, spełnia Kain przykazanie wiecznej twórczości, ażeby na niczem, nawet na niczem, co dobre, nie poprzestać:

KAIN:

Serce rozedrę i powiem, jak było.
Dzień za dniem schodził, rok za rokiem mijał.
Wszystko mi wiodło się, wszystko pleniło,
Wszystko sprzyjało, i jam wszemu sprzyjał.
Siew, kośba, zbiórki i znów siew i żniwa.
Noc nocy równa, dzień podobny do dnia,
Słońce wstawało lub kładło się w morze,
I gwiazdy mierzchły lub złociły ciemnie,
Cała natura umarła i żywa
Żyła — beze mnie!
A ja, choć pierzchła pamięć, jak stworzone
Słonych wód rząpie i lądy zielone
I pióra ptaków i łuski jaszczurstwa,
Gdzieś na dnie mózgu, jak lampę, jak płomień
Nosiłem w sobie złotą iskrę twórstwa
Tem zapalniejszą, że wieki tłumioną,
A nienawykłą więzów i poskromień.
Tak więc nienawiść znów poczułem oną
Do gnuśnej gliny i złość, że dokoła
Wciąż się z niczego coś lęże i stawa,
Kształt bierze, rośnie, a mnie nikt nie woła,

Nikt nie przyzywa zakasać rękawa
I przy warsztacie stanąć w strugach potu
I popróbować dawnych sił i lotu. —
Tak więc ta iskra, jak burza nad stepem,
Nad mym bezsennym chwiejąc się czerepem,
Czekała ciągle w gniewie nieruchomym,
Rychło-ż zabłyśnie i padnie zeń gromem.
Jeszczem nie wiedział, co ten piorun stworzy:
Życiem obdarzy, czy trupem położy,
Ale to czułem, że trza mi wszcząć burzę
Całą naturą mą przeciw naturze.
I to wiedziałem, że, gdy nią zapałam,
Coś straszliwego i świętego zdziałam,
Coś, przyczem zblednie Demiurga mozół
I w ducha nędzną przedzierzgnie materję.

Pomnę — świat cały w złoty blask się ozuł,
Burzan falował i szumiały prerje.
Siedziałem, patrząc, jak się w plenne kłoski
Niwa bogaci i słońcem podpala,
Gdy wtem z za kępy, strojnej w białe tarnie,
Wybiegła Lilith, podobna do brzózki.
Przed nią szła światła i radości fala,
A za nią płowe, czarnookie sarnię.
A ile razy nad tęczą motyli
Lub kwiatów tęczą Lilith się pochyli,
Sarnię tak muska ją i tak ją pieści,
Że dusza we mnie na ten widok klęka,
Nie wiedząc: Lilith słodsza, czy sarenka?
A wtem wysoko nad chmurami gdzieści
Zakotłowało. Słucham — coś szeleści,
Patrzę — już pierza kłąb na płowym grzbiecie

I lśniące szpony w wywleczonem trzewiu,
W oczach zaś Lilith... O nie! wy nie wiecie
Ile w jej źrenic obłędnem zarzewiu
Gwiazd naraz błysło i, ciekąc po rzęsie,
U stóp mych cudnym rozwiło się kwiatem.
Otóż więc wtedy... na mą duszę klnę się!
Abel najsłodszym, najtkliwszym był bratem,
I jako słońce moja k'niemu miłość —
Wówczas więc iskra, co mi tlała w mózgach,
Burzy podobna i płatkowi śniegu,
Kiedy na stromą upadłszy pochyłość
Lawinę ruszy i w oślepłym biegu
Pędzi, a za nim trzony gór w odruzgach —
Iskra ta, mówię, w myśli mej otchliskach
Stanęła nagle w piorunach i błyskach
I, niezgaszone niecąc we mnie żądze,
Kazała zerwać natury wrzeciądze
I wyjść poza nią w świat nieznanych krain,
By móc zawołać: jam to stworzył — Kain,
Wróg gnuśnej gliny i wieczny krzesiciel
Ducha sennego pod łonem i mściciel!
Zatem gdy Abel krzątał się przy watrze
U boku Lilith, Abel jasnowłosy,
Ach, jaki piękny! nieprzeczuwający,
Że lada chwila śmierć na niego natrze, —
Jednym straszliwym ciosem mej maczugi
Ciemię-m mu strzaskał!... Zwalił się jak długi
Pod stopy Lilith, a strumień gorący
Bluznął z czerepów na trawy i wrzosy,
Na moje dłonie, na moje powieki,
Na moją duszę!
I odtąd spływa tak ze mnie, — i wieki
W trwodze i mękach

Brodzić nim muszę
I żłopać z posok tego strumienia
Z wszystkowidzącą lampą SUMIENIA
W plugawych rękach.

Kto tam tak skomle? kto tam skowyta
Nad białych owiec skrwawionem runem
I — gdzie jest Abel? gdzie brat twój? — pyta.
Zalim pies jego? zalim mu stróż?
Gdzie on? — ja nie wiem, nie wiem, nie powiem.
Znam tylko nóż!
Jestem biegunem,
Biegnę pustkowiem —
Przez dżdże skorpjonów, przez chłosty rózg
Niepowstrzymany żenie mię wiew.
Gdzie stąpię — krew, gdzie spojrzę — krew!
Jakże zmęczony biedny mój mózg...

Kto tam tak skomle? kto tam tak skuczy?
Za skroń, za piersi dłońmi się chwyta,
Krwawym łachmanem po pustkach włóczy,
Przed nim i za nim klątwa niezbyta,
Przed nim i za nim popłoch i lęk
I ból i jęk!
Kto on — ja nie wiem, nie wiem, nie powiem.
Jestem biegunem,
Biegnę pustkowiem —
Przez dżdże skorpjonów, przez chłosty rózg
Niepowstrzymany żenie mię wiew.
Gdzie stąpię — krew, gdzie spojrzę — krew!
Jakże zmęczony biedny mój mózg...

Kto tam tak skomle? kto tam tak wyje
Jak oszalały, bezdomny pies?
Burza nim miota, wicher nim wije
Przez krwi ocean, przez morze łez.
Gzie przystań? kres?
Ja nie wiem, nie wiem, nie wiem, nie powiem.
Jestem biegunem,
Biegnę pustkowiem,
Krew ze mnie ścieka —
Biegnę bez jutra, ulgi, wytchnienia,
Byle nie zgasła lampa sumienia
W piersiach człowieka.

Ach, niczem męki, niczem mi zbrodnie
I ta tułaczka przez krew i łzy,
Skoro zażegłem sumień pochodnię
Po wszystkie dni...

(str. 53—57).

Więc *felix culpa?* (3) Szczęśliwa wina, której trzeba było, ażeby się prawdziwie ludzkie, dramatyczne i czynne życie, w niewinnym i biernym człowieku obudziło? Więc sumienie tyle jest warte, że warto być złym, ażeby przez wyrzuty sumienia dojść do świadomości sumienia? Niebezpieczna to nauka, która kiedyś, w dawnych czasach, kiedy jeszcze myśli były brane śmiertelnie na serjo, doprowadziła do sekty kainitów, którzy się wszystkim grzechom oddawali, aby tak, najsrożej, rozorać sumienie. Dziś, na szczęście, już tak się ustaliły w nas moralne nałogi (...?!...), że możemy pozwolić sobie na czysto estetyczne, bez moralnego odpie-

rania, bez tego uczucia niebezpieczeństwa, które wszelkiej estetycznej postawie najgłębiej jest przeciwne — odczuwanie owych, z poetyckiej fantazji wysnutych, zbrodniarzy we wielkim stylu, tak ulubionych romantycznej wyobraźni. Szukiewiczowy Kain jest napewno krewnym króla Popiela, strasznego króla o zielonej twarzy pod czarnym hełmem ołowianym, który poto znęca się nad swym narodem, ażeby z tego sielankowo leniwego plemienia czynniejsze jakieś życie, bunt, opór wykrzesać; podobnież Kain, tylko że jemu o cały ród ludzki, o całą materję świata idzie:

..... ja tak gnuśną glinę rozzgrzytam,
Tak ją ucisnę, tak uciemiężę,
Tak ją utrapię krwawo a wzniośle,
Że wreszcie ducha z siebie wyrzęże.....

Więc już wiemy poco zło i śmierć? Zło i śmierć poto, żeby życie nie zastygło w swych osiągnięciach, nie zależało się i nie zatrzymało. Niebezpieczna i ta, romantyczna teorja, żeby tak powiedzieć „energobodźczego terroru“, — choćby dlatego tylko, że może rozmaitym tyranom i małym tytanom dodawać romantycznego uroku... Ale z temi wnioskami wychodzimy już poza zagadnienia poematu. Odchodzimy też chyba od intencyj osobistych i moralnych poety, który jest miłośnikiem życia wolnego, swobodnego od tyranji. Dość, że stwierdziliśmy myślową logikę wyobraźni poetyckiej, która, skoro raz już opanowana została ideą twórczości nigdy niesytej, nie byłaby należycie konsekwentną, gdyby nie była stworzyła jakiejś takiej demonicznej postaci i interpretacji, jak ten właśnie

Kain, zbrodniarz z twarzą znudzenia głębokiego, popychacz świata przez zbrodnię. Z tym motywem jest Szukiewicz romantykiem niezaprzeczonym.

Przy sposobności jeszcze jeden bardzo romantyczny rys, znowuż podobieństwo ze Słowackim z *Króla Ducha* — podobieństwo lub wpływ, ale to pierwsze byłoby bardziej zajmujące — jak zawsze w tych wypadkach...

Jak długom pustką tak szedł? — nie pomnę.
Pamiętam jeno słońce ogromne,
Złote, czerwone, sine, upiorne,
Przez lasów sita, przez mgły wieczorne
Siejące trwogę i dziki strach
I z rzek pamięci, jak rybak z węci,
Dobywające, co raz w nią wpadło,
Choćby zsiniały to miał być zwłok.
Brodziłem w dumach, wspomnieniach, snach,
Wsłuchany w ciszę, wpatrzony w mrok.
Wtem coś mignęło, — jakieś widziadło:
Dwa jakieś cienie, jasny i śniady,
A przy nich trzeci złocisto-włosy.
Otwarła usta krwi chciwa ziem,
Ktoś wzniósł maczugę, ktoś runął blady,
Ktoś trzeci załkał aż w niebogłosy —
Gdziem ja to widział? skąd ja to wiem?
Czemu to miejsce takie mi znane,
I czemu, patrząc na źdźbła zbluzgane,
Taki dławiący uczuwam żal?

(str. 62, 63)

Piękny ten krajobraz, już samem obrazowaniem przypominający krajobrazy Słowackiego, przywodzi na

myśl jeszcze jedno: Wszak tak samo poeta *Króla Ducha*, błądząc po miejscach odludnych i smętnych, z „anamnetycznej“ — jak twierdzi — swej pamięci, z minionych żywotów, wywoływał postaci, któremi zaludnił swój mit.

Przez wiele jeszcze mitów prowadzi nas poeta już nie trzymając się ściśle ani biblji ani chronologji:

KRAINA HELOTÓW:

O sny, o zjawy
Przed okiem mojem tysiące lat,
Tysiące ludów ciągnie przede mną!
Widzę... daleką krainę Sławy
Niegdyś swobodną — potem jarzemną,
Niegdyś kraj obrów — potem Helotów.
Nad nią jednego tylko olbrzyma
Widzę, co lud swój, igraszkę dziejów,
Pieśnią przetworzyć chce w Prometejów.
Syn uroczyska i Wajdelotów,
Płaczkę ojczyzny swojej i duszę,
Gęśl wajdelocką w dłoniach swych trzyma.
W gromach i błyskach idzie natchniony,
Po sprawiedliwość zszedł do Erebu,
Wyznanie rzucił zimnemu niebu:
»Drżyj! zwę się miljon — bo za miljony
»Kocham i cierpię katusze —
»I większe stokroć, niż ty stworzę dziwo:
»Zanucę pieśń szczęśliwą!

Wstrząsnęły dreszcze ludem Helotów
I ogień błysnął z ich lic i czół.

Rzekłbyś: za właść swą każdy paść gotów
I rwać ten łańcuch, co mu dłoń skuł.
Rzekłbyś: kto takich pieśniarzy miał,
Takie z ich lutni natchnienie brał,
Musi się gniewem świętym zrumienić,
Otrząsnąć z siebie błoto i kał,
W hufiec się istot skrzydlatych zmienić
I prometejski tu ziścić cud:
Niebieskim ogniem z ospałych glin
Wypławić ducha!...

O błędzie krwawy,
Ziemio, wężowych przepełna ślin!
Dotąd kraj Sławy domem niesławy —
Toż jest, Jubalu, wielki twój czyn?
Muzyckich naczyń to czarnoksięstwo,
Wyzwolin twoich to śniony kres?
Przekleństwo tobie, pieśni przekleństwo —
Dalej przez padół krwi, błota, łez!

(str. 66, 67)

Już niewiele mamy czasu śledzić szczegółowo jak dotąd za liryczno-ideowem znaczeniem epicznych wątków. Więc tylko wspomnijmy, że Stwórca-Stworzony jest, między innymi swoimi awatarami i Jubalem, wynalazcą muzycznego narzędzia, i królem-magiem, co na dachu świątyni nad sensem wiecznej monotonji gwiazd i nad nietrwałością ludzi zamyśla się, gwiazdy liczy i biegi ich mierzy, gmach każe wznosić ogromny, żeby się do gwiazd zbliżyć, ale gmach trzasnął — a badacz gwiazd został niepocieszony ze swojem nienasyconem: „Skąd i poco?“

Potem się w Księcia Indyjskiego wcieli poeta, który pod świętem drzewem, zaskoczony zadumą (w ową noc cudowną, kiedy-to wszystko zatrzymało się, uspokoiło, odetchnęło i na chwilę pogodziło) — dna trzech światów duchem zmierzył. Razem z buddyjską mądrością zrozumieliśmy, że

Powrotnych zrodzin falę nieustanną
Trzeba ogroblić raz już ostatecznie!
Rodzić się, męczyć, mrzeć, by za mogiłą
Nowego bytu brać na się kajdany
I zasię istnieć i znów konać w męce
I nie znać kresu tej muśnej przemiany,
A tylko cierpieć strasznie, ciągle, wiecznie!...
(str. 79)

Wszystko, co stworzone zostało, jest poniżej stwórczego zamierzenia:

Tworzyłem gwiazdy, a stały się... ziemią.
Ducha-m przez poty dobywał najkrwawsze,
A to same bez-duchy się plemią...

I nic z tego, co stworzone, nie ukoi tęksnoty za wiecznem ukojeniem:

Wszechniemoc czynu... I nigdzie ostoi
Dla wzlatującej poza widnokręgi
Nienasyconej niczem żądzy mojej,
Mojej wżdy twórczej, nad łomem potęgi...

Wszechprzemoc złudy... I nigdzie zatoki,
Gdzieby kotwicę rzuciła tęsknota
I piła w brzegu słodkich wód patoki
Choć gromy biją i fala się miota.

Więc już chyba tylko zapragnąć zbawienia przez sen wiekuisty? *Requiem aeternam* — przez unicestwienie?... (4).

Ale w tytanicznej psychice Europejczyka jest coś, co się buntuje przeciwko nauce buddyjskiej, aczkolwiek szlachetna to nauka. I znowu wiersz bardzo ciekawy przez swą metaforyczno-myślową więźbę:

TWÓRCZOŚĆ PRZECIW NICOŚCI:

Nie, nie po stokroć! — Jest na głębiach ducha
Moc, co niemocy wszelkiej jest przeczeniem,
Moc, co nie zniesie żadnego łańcucha,
Moc, co żelaznem uzbrojona chceniem,
Długo tłumiona tem silniej wybucha
I jest wszechjestestw ustawnem tworzeniem,
Ustawnym pędem w dal nieprzepatrzoną!

Ona-to każe pajączkom w błękicie,
Chociaż je wichry jesienne rozwioną,
Snuć srebrne nicie.
Ona-to każe przydrożnym badylom,
Chociaż je kosa nim dośpieją wytnie,
A tchy pustynne tumanem przypylą,
Kwitnąć błękitnie.

Ona-to sprawia, że z wyżyny skalnej,
Pomimo wichru mroźnego i skwaru,
Strzela świerk halny,
A zagnieżdżonych na nim ptaków łajno
Zamienia pustać górskiego wiszaru
W ziem urodzajną.

Przez nią-to wody, gdy się w skały wedrą,
Póty w nich krążą, aż zakrzepłe staną
Jaskiń katedrą.
Przez nią miotane orkanami prądy
Tak długo kipią, aż mięciuchną pianą
Wyrzeźbią lądy.
W jej imię skrzydeł ostatnim wysiłkiem
Ptak do łońskiego swego wraca gniazda,
Przez nią na próżniach zrasta się pył z pyłkiem
I nowa w niebie zapala się gwiazda.
Przez nią i dla niej z bezwładnych snów matni
Na nowy żywot a czyn mój ostatni
W s t a ł e m . . .

Gdziemkolwiek przyszedł, gdziemkolwiek się zjawił,
Czyli w odwieczerz to było czy w jutrznię,
Zewsząd się do mnie zbiegał lud i sławił
Mnie i rybitwów przypozwanych w ucznie.
Błogosławiła mnie maluczkich rzesza,
Że i najmniejszym nie odjęto cześci,
I snadź już boże królestwo nadśpiesza,
Jako Janowa puszcz obiecowała,
Bo głusi słyszą, wstawają pogrześci,
A Syn człowieczy grzeszniki rozgrzesza.

Chrzciłem świat z ognia, a świat mnie — z boleści!
(str. 86, 87)

Ten, który „wstał“, to będzie Syn Człowieczy. Więc poeta napewno tak chce powiedzieć: Przezwyciężyłem w sobie buddaizm, tak właśnie, jak w ludzkości chrześcijaństwo, zestawione z buddaizmem, jest przezwyciężeniem straszliwego znużenia życiem, któ-

remu buddaizm daje wyraz metafizyczny. Bo chrystjanizm każe pragnąć żyć. Ale poeta odrazu daje do poznania, co go od pragnienia śmierci do pragnienia życia odrywa i popycha: Radość niezmierna z jaką na wiekuistą twórczość przyrody spogląda.

Teraz więc Stwórca-Stworzony jest już Tym, który kazał na górze:

KAZANIE NA GÓRZE:

Rzekłem na górze w onę noc jarzęcą:
Błogosławieni ubodzy na duchu,
Albowiem ich jest królestwo niebieskie;
Błogosławieni, którzy się tu smęcą,
Albowiem oni pocieszeni będą;
Błogosławieni, których niemasz słychu
Dla ich cichości, — ci-ć ziemię posiędą;
Błogosławieni łaknący prawości,
Albowiem oni będą nasyceni;
Błogosławieni miłosierni, bowiem
Pan miłosierdzia będzie ich wezgłowiem;
Błogosławieni, w których sercu gości
Czystość, albowiem oglądają Boga;
Błogosławieni pokój tu czyniący,
Imię ich bowiem będzie: syny boże,
Błogosławieni dla sprawiedliwości
Prześladowanie i ucisk znoszący,
Bowiem dostąpią niebieskiego proga.
A i to jeszcze na koniec przyłożę:
Błogosławieniście wy przeto właśnie,
Że w świat pójdziecie na gniewy i waśnie,
A on wam dla mnie jeno nazłorzeczy

I w pęta poda i oplwa was śliną —
Lecz światło, które ja daję, nie zgaśnie.
Albowiem ziemia i niebo przeminą,
Lecz nie przeminie, co rzekł Syn człowieczy.

(str. 90, 91)

Chrystusa ukrzyżowali, bo chcieli Go męką krzyża przymusić do cudownego sprawienia, iżby stało się Królestwo Boże, które głosił:

Nocą pojmali mię na Getsemanie,
Osiekli rózgą, oblekli szarłatem
I osądzili na ukrzyżowanie,
Bym — jak mówili — z wyżyn władnął światem.
A to czynili, iżby się spełniło,
Co jeszcze miałem spełnić przed mogiłą.

Na krzyżu zawieszony pociesza Ukrzyżowany skazańca, co Mu uwierzył:

NA KRZYŻU:

— — wejrzał na mię tak głęboką wiarą
I taką serca zapłonął ofiarą,
Żem się ku niemu nad tłumem pochylił
I począł mówić, abym go posilił.

— Świat ten ułuda i marność marności
I upalenie serc i dusz tęsknota.
Nic się nie otrwa na nim krom miłości.
Przez nią jedyna droga do żywota,
Przez nią jedyna nieomylna ścieżka

W dom, gdzie wesele wszystkim zgotowiono.
Kto cierpiąc wierzy — w domu tym zamieszka,
Ojciec niebieski weźmie go na łono
I upalenie serca w nim ugasi
I duszę taką rozkoszą przyłasi,
Że nie zapragnie już stamtąd wyraju.

Wierzysz mym słowom?

»Mocno wierzę, Panie!«

— Dziś jeszcze, mówię-ć, będziesz ze mną w raju.

Ledwom to wyrzekł — skonał, a skonanie,
Miał jako człowiek, co po długim trudzie
Mruży powieki z uśmiechem na twarzy
I o zjawionym w śnie głębokim cudzie
Długo i słodko i rozkosznie marzy

(str. 91, 92)

Ale teraz, znowuż z ową liryczno-panteistyczną logiką, Chrystus, który po śmierci tamtego sam został na swym krzyżu, i on sam, poeta, i każdy, który się samotnie męczy — ci wszyscy to jedno:

ELI, ELI, LAMA SABACHTANI :

Skonał z uśmiechem, ale jam pozostał!
Wydan na tortur udrękę i skurcze
I na upalny wiatr, co pierś mą chłostał
I siekł mi w mózgach żądze moje twórcze.

Któż niebo nagiął tak, jak ja je nagnę
Tym, co mrzeć będą po mnie na swym krzyżu?
Jam tego oto dokonał mą mocą!
A przecie, przecie, w dali czy w pobliżu,
Gdzieś tuż koło mnie, nad mą skronią, we mnie
Głos jakiś woła nieustannie: P r a g n ę!
Z żółcią i octem gąbkę mi tkną... po co?
Sycić napróżno, poić nadaremnie.
Już wypełniło się, przybywaj śmierci! —
Dlaczego gwiazdy tak czarno migocą?
Ziemia się trzęsie, — czy pękła na ćwierci?
Czy słońce w krwawych utonęło rosach
I obłąkane zgasło na otchłani?
Czemuś opuścił mnie, Ojcze w niebiosach?
O E l i, E l i, l a m a s a b a c h t a n i . . . !
— — — — — — — — — —

Więc i Chrystus był s a m o t n y na swym krzyżu?... Pytanie okropne, które nie może ominąć i nie przerazić żadnej duszy, która naprawdę nad temi rzeczami zastanawia się i pochyla i już przez to jest, przynajmniej w ostatniej instancji, chrześcijańską.

Mit swój poetycki doprowadza poeta nad głębię najgłębszą zwątpienia — bo zwątpienia większego niż największa nadzieja.

Tymczasem jednak minęła noc dumań na nadmorskiej skale, gdzieśmy zaczęli poemat. Wczoraj wieczorem zapaliły się wody od słońca zachodniego, a teraz oto poranne już gwiazdy osypują się iskrami do wody:

Gdzie jestem? co to? śniłem czy w obłędzie
Brnąłem przez głębie, gdzie duch z trwogi kona?

Ta biel nademną... są-że to łabędzie
Czy wzdętych żagli srebrzysta opona?
Jak cicho wokół! tu i tam na fali
Coraz to mgławiej i coraz nieśmielej
Samotna gwiazda jeszcze skrą się pali,
Błyśn e i zgaśnie, zćmi się i znów spłonie,
Aż bez szelestu na głębinach tonie.
Jak cudnie wokół! tam obłok się bieli,
Dźwignął się, słania, skręca i rozkręca,
Stopą oderwał się od wód topieli,
Śnieżną chorągwią w cztery strony powiał,
Potem od jutrzni zaczerpnął rumieńca
A potem cały jak róża spąsowiał,
A potem rzucił głownie gorejące
Dniowi na drogę...
Słońce, słońce!

(str. 93)

Tym wykrzyknikiem kończy się ostatni piękny wiersz pięknego poematu. Ale mam wątpliwość, czy ten wykrzyknik, wykrzyknik nadziei, jest tu stosowny, czyli raczej na miejscu nie byłyby kropki:

Słońce... słońce... słońce...

Przecież słońce już było i — cóż z tego?... Teraz nanowo pójdzie w ruch fatalne koło dnia i nocy poczem wszystko zacznie się od początku.

Jeśli jednak poeta będzie podtrzymywać ten wykrzyknik, to dosłuchamy się w nim myślowego akcentu moralnej kapitulacji: jako sens jedyny i jedyna pociecha pozostają tylko: chwila, i tylko zdrowe, biologicznie cenne, piękno natury. Owinąć się chwilą piękną i zdrową — i to byłoby wszystko co jest dobre?... Byłaby to naiwna barbarzyńska mądrość

pierwotniaka duchowego; ale u kogoś kto tyle światów przewędrował? Mądrość kapitulacji. Naturalnie to wszystko w jakimś najcieńszym sensie słów i zarzutów, jak pajęczyna cienkim. Życie duchowe ma swe trudne sprawy, niezmiernie wyższe ponad cenzurę moralności publicznej.

Panteizm Szukiewicza chyli się, jak zresztą każdy panteizm, w ateizm; nie jest to jednak ateizm ani materjalistyczny ani tembardziej w jakimkolwiek stopniu płaski i libertyński; owszem jest to ateizm spirytualistyczny i humanistyczny, który wziął w siebie patos posępnych przemyśleń, wielkie mity, wielkie wiary, wielkie niewiary i herezje ludzkości (5). Jesteśmy tu na wyżynach ateistycznego smutku; lecz i w ateistycznej bezujściowości: bo ujściem bez ujścia jest finał poematu...

*

Poemat Szukiewicza jest prawem dzieckiem swej epoki, młodo-polskiego neoromantyzmu. Na niektóre pokrewieństwa myślowe i literackie już zwracałem uwagę; jeszcze tylko raz podkreślę patronat Słowackiego; *Genesis z Ducha i Król Duch* są wzorami niewątpliwymi, choć wcale nie przedmiotami naśladowania posłusznego, — możnaby się tylko wyrazić o szkole Słowackiego, ale nigdy o epigoniźmie. W pewnej naukowości koncepcji dostrzegłem coś z pozytywizmu. Ze swymi (zresztą nieco starszymi od siebie) rówieśnikami z Młodej Polski wiąże się Szukiewicz postawami ideowemi bardzo znamiennemi: Tragizm życia, w którem immanentnie zawarte są śmierć, ból i zło (Przybyszewski); buddyjska tęsknota do unicestwienia (Tetmajer); panteistyczne ekstazy pośród wielkiej przyrody (Kasprowicz); bodajże i do medytacyj metafizycz-

nego pesymizmu u Żuławskiego, dałoby się znaleźć analogje. Sama zresztą metafizyczna tematyka jest bardzo znamienną dla tej wielkiej epoki polskiej poezji, która troszczyła się o rzeczy wieczne.

Artyzm poematu *Na głębiach* jest formalny i myślowy. Nieskalane a urozmaicone i wyraziste linje rytmiczne, żywe i energiczne tempo, oraz słodko-mężna dźwięczność wiersza. Język o ogólnem nastawieniu retorycznem, ale daleki od tej retorycznej wady, którą jest używanie wielkich słów bez pokrycia myślowego, psychologicznie konkretnego; napewno w każdej poezji o regularnych formach metrycznych, a zwłaszcza w poemacie o dużem rozpięciu muszą znaleść się miejsca tego rodzaju, gdzie przestrzeń wiersza trzeba watować związkami słów, które nie są konieczne — więc i tu możnaby gdzieniegdzie jakąś „watę“ wytknąć; ale z przytoczonych cytat Czytelnik już wie, jak rychło poeta z *retoricitis* przechodzi czy w myśl wyraźną, czy w melodyjność nastrojową i barwistość obrazową — czyli z werbalizmu w treściwość. W języku intrasje staropolskie, ale bez manjery, dodają siły a nie nudzą; ładne wyrazy złożone, jak np. *gwiazdy stupłomne*, *burza dżdżowłosa*, *śmiechopłacz mask*, *mary jawosenne* i t. p. Interesujące jest bogactwo materjału, z którego poeta czerpie obrazy-porównania, i z jak pospolitego tworzywa umie sprawić obraz patetyczny i poetyczny:

Dłoń mą pogrążam w zaciery
Płodnego mego ducha —
Patrz, jak się zacier rucha,
Jak wzdyma się i brzęknie,
Dygoce w tajniach trzew.

Sekunda jeszcze — a pęknie,
Sekunda — a na otchłanie
Poleci jak zawierucha
Mój grom, mój czyn, mój zew:
Niech będzie, niech się tak stanie!

Skąd to porównanie? Ni mniej ni więcej tylko z kuchni lub piekarni; wszak to widok fermentującego ciasta w dzieży!... Ale ważniejszym walorem artystycznym jest metaforyka większa, myślowa, czyli symbolika poematu. Poeta nie porównuje przyrody do czegoś innego, nie antropomorfizuje jej, owszem przyroda pozostaje sama sobą, góry górami są a nie jakiemiś figurami fantastycznemi np. tytanami, nie mówiąc już o jakichś śpiących rycerzach i t. p. Proces metaforyczny jest tu o wiele mniej naiwny; mianowicie mit jest porównywany do przyrody, wyraża się zapomocą rzeczywistych (nb. lirycznie rzeczywistych!) obrazów przyrody; w ten sposób sens mitologiczny przyrody nie jest do niej naiwnie przysztukowany, ale jest tylko pogłębieniem lirycznego wrażenia; „góry są dumne“ — taki jest liryczny konkret — ale mit nie dorabia żadnego innego sensu tej dumy prócz tego, że „góry są dumą ziemi“ — co znowuż jest lirycznie i to dość bezpośrednio zrozumiałem. Lecz „duma ziemi“ zkolei jest przedmiotem porównania dla „dumy ducha“, także lirycznie zrozumiałej, bo jak ziemia się dźwiga dumnie do góry — tak i duch to czuje w sobie. Jednem słowem mitologja nie przerywa bezpośredniej ciągłości między sensem lirycznym przyrody, a jej sensem metafizycznym, lecz ją podpiera. Między lirykę a metafizykę nie wtłacza się żadna naiwna machina mitologiczna, coby i niedowierzanie

budziła i energję przeżycia odprowadzała gdzieś nabok. Następuje tylko metafizyczne pogłębienie sensu lirycznego — i to w dostatecznie nieokreślony sposób, ażeby człowiek nowoczesny mógł być z tego estetycznie zadowolony. Bo dla nas urok estetyczny przyrody polega na tem, że ona coś znaczy — ale znaczy coś tajemniczego. Poemat Szukiewicza z jednej strony oddaje fantastyczno-liryczne marzenia o przyrodzie, ale z drugiej tworzy mit metafizyczny o przyrodzie, nie odwołując się, albo raczej zrzadka, i to dyskretnie a pomysłowo odwołując się do fantastycznych naiwności, antropomorfizmów, któreby rozpraszały nasze czucie, czucie tak miłe człowiekowi współczesnemu, że jeśli się w przyrodzie dzieją jakieś sprawy duchowe i człekopodobne, to zbyt dziwne i tajemnicze, aby je mogły oddać jakieś podobieństwa zbyt określone. Myślę, że na tem polega główna ściśle artystyczna, zasługa poematu. Ale czyliż w drugiej, ludzkiej części poematu, te porywy w sferę, gdzie nadludzka i boska wielkość świeci, nie sprawiają wrażenia wzniosłości — a tem samem stanowią o pięknie poetyckiem?... Jestem przekonany że tak.

*

„*RYMY I RYTMY*".

W następującym zbiorze poezyj, Czytelnik, który uważnie przeczytał wyjątki z poematu *Na głębiach*, odnajdzie motywy, myśli i sposoby artystyczne już znane sobie i zrozumiałe.

Melancholja, nad srogiemi tajemnicami bytu zadumana, znajdzie sobie w sonecie *Na szyi swojej*

nie czując powroza, zaiste wspaniały, śpiżowy a klasyczny w kształcie językowym wyraz. I znowuż słodka ale nie bez smętku kontemplacja przyrody, odezwie się językiem pełnym wdzięku. Ileż go np. w tem zapytaniu, do liści jesiennych „złotem malowanych", dlaczego się odrywają ze swej gałęzi macierzystej, aby spaść na błękit stawu? Odpowiedź artystycznie niebanalna: Liście widzą, że na staw nocą gwiazdy spadają, z gwiazdami na wodzie chcą się spotkać; ale cóż z tego?...

Cóż wam z tego, że na toń tę
Złote gwiazdy nocą spadną,
Skoro — ledwo je muśniecie —
Tajnia wód was wciągnie na dno.

Za ten promyk niedopity
W krótkim pocałunku nieba
Raznazawsze, ach! na wieki
Z słońcem się pożegnać trzeba. —

Nie słuchają, nie badają
W czem się dla nich lot ten ziści —
Uroczyście mżą i prószą
Coraz rojniej i rzęsiściej.

W błogiem zadumaniu nad stawem poeta czuje się, jakby się razem z krajobrazem głęboko odrealizował:

Pod zmrużoną mą powieką
Maja welon swój przesnuwa —
Myśl odbiegła gdzieś daleko,
Tylko dusza jeszcze czuwa.

Tylko czucia zmysł pozostał
I, choć wplecion w kręgi bytu,
Nieodparcie i natrętnie
Żąda napić się błękitu.

I w tej JEDNI, co miljonem
Różnorakich form się toczy,
Z liściem wierzb i bańką wodną
Współczująco się jednoczy.

Nie są to już wielkie wiersze, z jakiemi spotykaliśmy się w poemacie, który jest *chef d'oeuvre* naszego poety, ale jest w tem wdzięk. Ile zaś metrycznej elegancji, muzyki, barwy i nastroju jest we wierszu *Wieczorny dzwon*...; oto jego druga zwrotka:

Drogą polną ku rozłogom idę, zmierzch mi towarzyszy,
Błogo mi, że wkrąg nikogo niema oprócz mnie i ciszy,
W górze tylko na lazurze, kędy przestwór się wysklepia,
Duże niby złote róże płoną gwiazd jarzęcych ślepia.
Płoną żagwią niezgaszoną od stuleci do stuleci, —
Łono me ku nocy tronom wzbiera łzą, myśl w bez-
[miar leci..

Jako nowy w stosunku do znanego nam poematu motyw, występuje fantastyka mitologiczna, ale już nie symboliczna, tylko ta zwykła, naiwna: fauny i dryjady w spotkaniu z pociągiem kolei żelaznej, przerzynającej las, czysta igraszka poetyckiej wyobraźni, raczej w jakimś rokokowo swawolnym niż Boecklinowsko nastrojowym stylu.

Niespodziewanym jest motyw religijny (ale niecałkiem niespodziewanym — bo w duchu poety chrze-

ścijaństwo walczy z panteizmem i ateizmem i jeśli nie jest górą nad niemi, to w każdym razie jest pod niemi, u dna...) — motyw rezygnacji kornej na myśl, że i Bóg jest ukrzyżowany; przez ziemię przeszła wojna (o Polsce myśli), i odbiła na niej, jak na chuście Weroniki, oblicze Ukrzyżowanego:

Oto ranne weszły zorze,
Ale głucho, cicho wkrąg, —
Jeno krzyże na ugorze
Nakształt wyciągnionych rąk,
Jeno głogi na wygonie
Niby krople skrzepłej krwi
Lśnią wśród ciernia, jak w koronie,
Którą ongiś dano Ci...
Czyżbyś, Panie, tę ziem pustą,
Te gromami zryte pola,
Weroniki chciał mieć chustą?
Wśród tych mogił, wśród tych cisz
— Dziej się święta Twoja wola! —
Odcisnąłeś łzy i krew,
Odcisnąłeś męki krzyż,
Co się aż w niebiosa piętrzy.
Dla tych krzyżów, łez i cierni,
Twój w tem Panie czując zew,
Chuście tej zostaniem wierni
Jak relikwji przenajświętszej!

To jest nietylko po szczeropolsku miłe i rzewne, także piękne. Ale naogół tematyka patrjotyczna (i humanitarna) nie otrzymała kształtu poetyckiego na tym poziomie, co refleksyjna i zwłaszcza krajobrazowa.

Lecz charakteryzuje ona osobistość poety, świadcząc, że unoszony polotem marzeń poetyckich, nie oderwał się od ziemi, obciążony w sobie — ciężarem serca.

*

Nie idąc w pierwszym, najwyższym rzędzie, poetów Młodej Polski, Maciej Szukiewicz poematem swym uzyskuje wysoką rangę pośród poetów myślicieli, zdobył niejedną pozycję prawdziwej wzniosłości i piękności, wiele pozycyj szczerego wdzięku, wyjawił się z obliczem duchowem wyrazistem i indywidualnem. Z wykształcenia przyrodnik i humanista (chemik i historyk sztuki, muzeolog z zawodu), połączył w swej umysłowości i wyobraźni surowość współczesnego, z nadprzyrodzoności ogołoconego oglądu świata — ze znajomością religij, mitów, dzieł dawnej wielkiej sztuki, od których tchnie klimatem zaufania w duchowy sens Rzeczywistości. Tradycjonalista przez zamiłowania wyobraźni, jest bardzo nowoczesnym przez swe dramatyczne zwątpienia. Romantyk przez swą metafizyczną koncepcję, jest klasykiem z wyrazu: lubi myśli wyraźne, mówione zrozumiale. Przy kosmopolitycznem urozmaiceniu swej tematyki jest prawdziwym, zamaszystym sarmatą, z twarzy, temperamentu, sposobu bycia, któremu i jurny humor nie jest obcy (w dramatycznych zwłaszcza utworach). Miłośnik staropolszczyzny, nie ma w sobie nic z kastowej nadętości i bynajmniej nie jest owym, najbardziej popularnym, sarmatą o „czerepie rubasznym“, człekiem dobrodusznego wygodnictwa duchowego; najbliższym ze staropolskich poetów jest mu melancholik Potocki Wacław. Bo pamiętać trzeba, że między ludźmi wąsatymi o pod-

golonych czuprynach, byli także niektórzy, co byli zadumani głęboko i posępnie. Był, był sarmatyzm melancholijny, bo zamyślony — i jest w tej kombinacji, sarmatyzmu z melancholją, jakiś urok ostry a wykwintny, dość niezwykły...

Zakopane, 8. IV. 1936.

PRZYPISY.

1) Maciej Szukiewicz: *Na głębiach*, Kraków-Warszawa, Krzyżanowski-Wende 1913 (wydanie ozdobne z winietami według Matejki).

2) Urodził się w Stockholmie, w 1870 r. jako syn emigranta, powstańca z 1863 roku. W swoich notatkach z podróży p. t. *Z ziemi fjordów i fjeldów* zamieścił taką oktawę:

Cny czytelniku, pozwól mi łaskawie,
Że ci na wstępie mojej opowieści
Imię me, ród mój i klejnot wyjawię.
Na świat przyszedłem za morzami, gdzieści
W ziemi Wikingów, na skalistej ławie,
Którą Mälaru fala wiecznie pieści,
A w powijakach ssąc pierś zacnej Szwedki,
Wzrosłem hartowny i duchem niewietki — — —

3) *Felix culpa* — szczęśliwa wina, znany okrzyk paradoksalny św. Augustyna, gdy zastanawiając się nad odkupieniem, przywołał na pamięć, że było ono skutkiem grzechu pierwszych rodziców.

4) Nawiasem: Marjan Zdziechowski to nasze cmentarne *requiem aeternam* zrównywa lub porównywa gdzieś z buddyjską tęsknotą za snem bez snów, ostatecznym, bez końca.

5) W młodzieńczym niewydanym poemacie, który jest pierwszym pomysłem poematu *Na głębiach*, znajdujemy wprawdzie taki nawrót do idei Boga:

...był, jest niszczycielem i będzie Jehowa,
on nie zna miłosierdzia, ani zna dobroci... itd.

ale niedługo potem:

Powiedz, gdzie jest Bóg Dobra? — Pytasz
gdzie? — on w tobie!
Tak, on w tobie, on w twojej duszy ma siedlisko
i zapełnia jej skrytek najtajniejsze głębie,

on nieci w niej popędy, czyste jak gołębie,
on sprawia, że pierś ludzka miłości kołyską,
on zatli gwiazd pochodnie w nocnym wieków kłębie.
Bóg w was, a wy go w niebios szukacie obrębie,
dajecie tron ze słońca, a on jest tak blisko...

Ten Dobry Bóg to Duch — a to przeciwstawienie biblijnemu Jehowie, Stwórcy, Demiurgowi — Boga Dobrego i wyższego odeń, jest jedną z idei gnostyckich. Czy to jest jeszcze religja czy już ateizm (spirytualistyczny), zależy od tego, czy tu jest jeszcze modlitwa, czy już jej niema?...

BIBLJOGRAFJA I DZIAŁALNOŚĆ PISARSKA

Macieja Szukiewicza:

DRAMAT

Utwory grane na scenach polskich:

ŚNIEG, baśń sceniczna w 1 akcie (Kraków).

KWIAT PIEŚNI, nokturn starego zamczyska w 1 akcie (Kraków).

DWA ŚWIATY, prolog okolicznościowy w 1 akcie (Kraków).

KRADZIONE, rzecz w 1 akcie (Kraków, Katowice, Poznań).

UŁUDA, dramat w 3 aktach (Kraków, Lwów, Warszawa, teatry prow.).

GLEJT, dramat historyczno-obyczajowy w 4 aktach, wierszem, nagrodzony na konkursie dram. b. Wydziału Krajowego (Lwów, Poznań, Wilno, Kraków).

NA WYMOWIE, dramat z życia ludu w 4 aktach (Lwów, Łódź, Petersburg, Warszawa-Praga).

PO SZARYM DNIU SŁOŃCE, sztuka w 4 aktach (Kraków).

ZAWÓD, sztuka w 3 aktach (Kraków, Lwów, Poznań, Warszawa, teatry prow.).

ODYS W GOŚCINIE, dramat w 3 aktach wierszem (Kraków).

NOC ŚW. MIKOŁAJA, baśń sceniczna w 3 aktach a 5 odsłonach, wierszem (Kraków, Lwów, Bydgoszcz, Grudziądz, Toruń, Katowice).

NA PRZEŁOMIE, sztuka w 4 aktach (Lwów).

Utwory dramatyczne niegrane dotąd nigdzie:

ARF, udramatyzowany poemat w 4 aktach.

NA SWOJSKĄ NUTĘ, trylogja wierszem, oparta na cudzych motywach a to: „Kradzione" na gawędzie Syrokomli, „Wolnoć Tomku w swoim domku" na bajce Fredry, i „Pani Twardowska" na balladzie Mickiewicza.

POPIELUCH, baśń sceniczna w 5 aktach z prologiem, odznaczona I nagrodą na jubileuszowym konkursie miasta Lwowa.

BARABBASZ, sztuka hist-obyczajowa w 4 akt. wierszem.

MAJA, sztuka w 4 aktach.

SEANS, dramat w 1 akcie.

z powyższych dramatów ukazały się w druku:

ARF, w „Przeglądzie Polskim" i osobnej odbitce, Kraków 1902.

NOC ŚW. MIKOŁAJA, nakł. Drukarni św. Wojciecha, Poznań 1922.

NA PRZEŁOMIE, Lwów 1930.

POPIELUCH, Kraków 1932.

BARABBASZ, Kraków 1933.

MAJA, Kraków 1934.

POEZJE

POEZJE, Kraków 1901.

NA GŁĘBIACH, poemat, Warszawa 1913.

RYMY I RYTMY, Kraków 1936.

PROZA

Z ZIEMI FJORDÓW I FJELDÓW. Luźne kartki z podróży, Warszawa 1900.

DZIWNE PRZYGODY DWÓCH MALCÓW w „Bibl. książeczek różowych i błękitnych", Warszawa 1930.

* * *

JAN MATEJKO w „Monografjach il." „Gryfa", Nasi malarze. Tom I. Warszawa 1915.

JAN MATEJKO I MUZEUM JEGO IMIENIA W KRAKOWIE. W czterdziestą rocznicę zgonu Jana Matejki (1893—1933). Z portretem Mistrza i twórcy „Domu Matejki" prof. Marjana Sokołowskiego, Kraków 1933.

DZIEJE, ROZWÓJ I PRZYSZŁOŚĆ MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE, Kraków 1909.

* * *

Listy Jana Matejki do żony Teodory z lat 1863—1881. Nakładem Gminy m. Krakowa, Kraków 1927, wydał oraz wstępem i objaśnieniami opatrzył Maciej Szukiewicz.

PRZEKŁADY

Knut Hamsum: PAN. Z pamiętnika porucznika Glahna. Nowela.

Juljusz Zeyer: JAN MARJA PLOJHAR. Powieść w 2 tomach.

Svatopluk Čech: PIEŚNI NIEWOLNIKA, Kraków 1929.

* * *

Feljetony literackie, krytyka teatralna, publicystyka (przygodnie) — w dziennikach i perjodykach.

Genjusz — bo ma laur na skroni,
Duch bo ma u ramion skrzydła,
Robak — bo się nawciąż kłoni
W zastawione ziemi sidła.

Porzucone wkrąg narzędzie:
Dłóto z piłą, młot z obcęgą —
Tem on wszelki kształt dobędzie,
Toń okiełzna łodzi wręgą.

Oko jego w dal polata,
Dłoń pracowna cyrkiel ściska,
Ufna że bezmiary świata
W małem kółku zawrze kreska.

W kryształ schwycił światła falę,
Białą mimo żarów słońca
I przecedza ją w opale
I na siedem barw roztrąca.

Zamknął piasku miał w klepsydrze,
Dzień mierzącej bez hałasu
I uwierzył, że tem wydrze
Wieczną tajemnicę czasu.

Śniąc naprzekór prawdzie nagiej
Byty, mocą złud szczęśliwsze,
Uciekł się pod skrzydła magji
I powierzył los swój cyfrze.

A na dowód, że naturze
Twarde jarzm narzucił wodze,
Uwidocznił to w psa skórze,
Co waruje mu przy nodze.

O tak, człecze! jesteś wielki
Siłą ciała, mocą ducha,
Ujarzmieniem karmicielki,
Sięgiem za najdalsze rucha.

Jesteś wielki, jesteś możny
Póki pijesz te haszysze,
Lecz... spójrz! w próżni tam bezdrożnej
Jaki-ż to się cień kołysze?

Cień, co podniósł się znienacka
I świat cały w mrok spowija,
Niosąc na swych skrzydłach gacka
Napis-krzyk: MELANCOLIA!

WYBÓR z I. TOMU
(1901)

RANKIEM W MORSKIEM OKU.

I.

Jeszcze noc, lecz za chwilę dzień odemknie oczy,
Zmorzone snem powieki skrzydłem wichru przetrze,
Słonecznym pocałunkiem rozgrzeje powietrze
I nad szarym granitem przepych barw roztoczy.

Jeszcze noc, lecz na nieba spłowiałej przeźroczy
Jedna za drugą gwiazdy mrą już, coraz bledsze,
Mgły do skał przytulone frunęły na wietrze
I dreszcz oczekiwania przemknął wzdłuż uboczy.

Wtem jutrznia złotoroga grzbiety gór ubodła.
Krwawią się wierchy, granie, przełęcze i siodła.
W złoty szyszak się zmienił czarny kaptur Mnicha
Wpatrzonego w toń wodną, co mimo brzask ranny,
Długo jeszcze w perłowej omroczy śpi cicha
Nakształt jednej, olbrzymiej szyby zwierciadlanej.

II.

Sen-że to czy też jawa? Nade mną, pode mną
Jednako niezmierzone ciągną się błękity,
Nade mną i pode mną z toni modrolitej
Zjeżone krzesanice wznoszą pierś swą ciemną.

Senność barw, linij, kształtów zjęła głąb podziemną —
Wgórze ostre krawędzie, spękane granity...
Na obcy mu świat ducha, czarem fal spowity,
Świat zjawisk patrzy twarzą groźną i tajemną.

O, duszo! jak rzucony kształt na wód powierzchnię
Rzeczywistość w twych głębiach zćmiewa się i mierzchnie
W obrazy widmom równe, zwiewne, tajemnicze.
O, życie! jak to wodne tyś jest rozgranicze
Między tem, co trwa wiecznie a tem, co ma minąć —
Mnie miedzą tych dwóch dziedzin płynąć wciąż i płynąć.

III.

Zaperliły się fale. Lekki dym oparów
Stopniał w słonecznym ogniu, — wgórze, hen! daleko
Kaskada, rozbryzgana w srebrnosine mleko,
Żywym opalem czarny osłoniła parów.

Coraz-to głębsze cienie spływają z wiszarów
I po kryształnej toni plamami się wleką,
Drży powietrze, przegrzane zawczesną dnia spieką
I, błękitem nasiąkłe, zmienia dzicz w kraj czarów.

Niezamącony spokój... Rzekłbyś: nad ogromem
Przemienionym w bajeczne, mistyczne zacisze,
Nieskończoność na skrzydle zwisła nieruchomem
I do serc wsącza słodkie zapomnień haszysze
I oto już się nie jest prochem i atomem,
Lecz duchem nieśmiertelnym... Płynę w blask i ciszę.

IV.

Kazałem opaść martwo białym pletwom promu.
Toń wkrąg się ułożyła gładka jednolicie.
Pod stopami mam nadir, z zenitu nakrycie
I nie lękam się więcej orkanów ni gromu.

W szklanej dwóch niebios bani jam osią ogromu,
Jam słońcem, centrem, wszystkiem! Prócz mnie na błękicie
Nie otrwa się kształt żaden, nie ostoi życie —
Tu mieszkać tylko bogom i więcej nikomu!

Tu mieszkać tylko bogom, bogów dłonią twórczą
Siać ziarno nowych bytów na próżni ugorach,
Przeżyte formy niszczyć wolą światoburczą,
Niezmiennym być w przemianach wszystkich,
[wszystkich porach,
I trwać tak bez początku, bez kresu, bez mety
Wiecznym w wiecznej wieczności... Ach, i czuć niestety!

V.

Czuć... lecz wielce i dumnie, z orlemi zamysły
I z orlą się nad losem unosić pogardą,
Na życia oceanie strażnicą być twardą,
O którąby się wszystkie gniewy fal rozprysły!

Czuć... ale czuć mimozy subtelnemi zmysły,
W śnieżności dorównywać narcyzom lub nardom,
Co wyrastając z bagna głowę wznoszą hardą
I nie mają plam w skroni choćby i wdół zwisłej.

Tak czuć i od wszystkiego, co w życiu jest małem,
Odgrodzić się błękitnych zatopów kryształem
I wisząc tak w przeźroczy, wzniesiony nad bliźnie,
Być ogromnie samotnym i sobą ogromnie,
A gdy kto z brzegu krzyknie: zginiesz na mieliźnie!
Móc rzucić Chrystusowe: człowieku, co-ć do mnie?

VI.

Lecz znikąd krzyk nie leci. Pustkowi tych ciszę
Mąci jeno plusk wioseł, gdy w kryształ je werznę.
Rozprysnęła się woda w kręgi równoleżne
I niby na sen wieczny miękko mię kołysze.

Cicho... a jednak ciągle znany mi głos słyszę,
Głośniejszy nad szept fali, nad kaskady śnieżne
I nie limby to szumią ni świerki nadbrzeżne
I nie krzyczą to w chmurach orły-towarzysze.

Skąd mi ten głos tak znany, tak drogi, tak bliski,
Że porzuciłbym błękit i brał go w uściski
I tulił go i pieścił, koił i uśmierzał?
Poznałem... to jęk niemych z ziemi tu przybieżał,
Okropny jęk miljonów!

. . . . . .

Z samotni jeziornej
Powracam znów do ludzi lepszy, bo pokorny.

WŚRÓD RUIN.

Niegdyś tu chram stał... Dziś dawno w gruz padła
Wysmukła nawa i sklepień wiązadła.
Wyrwane z zawias walają się wrota,
Odarto z ozdób witraże i przęsła,
Najskrytsze skarbce chciwa dłoń przetrzęsła —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Zmierzch tu posępny i cisza złowroga,
W ołtarzach śladu nie zostało Boga.
Pająk w ciborium szare siatki mota,
Chrystus, rzucony pośród stosów śmieci,
Wpiętemi w ciernie koralami świeci —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Z wież, gdzie grom dzwonił ostatnie podzwonne,
Nie rozszlochają się w modły stutonne
Gaszące ogień, w spiżu lane vota
I nie polecą, jasne jak skowronki,
Nad kochankami świegotać śród łąki —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Czasami tylko, gdy wiatr się tu wedrze,
Zepsuty organ budzi się w katedrze,

Wzdycha i rzęzi i dziko łomota,
A wtedy wszystek mrok ku niebu wyje
Okropne jakieś: Elejson, Kyrie!...

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Czasami księżyc przez murów szczeliny
Wśliźnie się martwy, lodowaty, siny,
Czasami puhacz skrzydłem załopota,
Czasem odkruszą się rzeźby obramień
Lub gzyms odpadnie i zadudni kamień...

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

A jednak, jednak! tam kędyś pod ziemią,
Gdzie dziwnie drogie prochy cicho drzemią,
Ostatkiem oliw i ogarkiem knota
Wieczna ampułka pod zwaloną nawą
Wbita u sklepień, dogorywa mgławo...

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Dniem jasnym płonie, ciemną płonie nocą,
Sama nie wiedząc: dla kogo i po co?
A taka świętość w jej ogniu migota,
Jakby kto w cieniu tych piwnic i pował
Młodość i miłość i szczęście pochował —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

W MROKACH.

I.

Szumi sitowie... Na dżdżu i wichrze
Chwieją się łozin półuschłe wiechy,
Idą po gąszczu szepty i śmiechy
Coraz ospalsze, dalsze i cichsze.

Coraz powolniej, błotem ciężarne,
Toczą się wody na dnie koryta
I cała rzeka, nocą nakryta,
W jakieś czeluście zapada czarne.

II.

Szumi sitowie... Posępną nocą
Błądzę, okropnym szlochając płaczem
I czarny tylko wie to mrok: za czem?
I czarny tylko wie to mrok: poco?

Serce boleśnie szarpie się we mnie,
Ostatnim jakimś błyskiem dogasam —
Dusza została z nocą sam-na-sam
I w nierozświetlne zapada ciemnie.

III.

Szumi sitowie... Patrząc w mrok dżdżysty
Na wód leniwych zatęchłe męty,

Widzę w oddali śród skał poczęty
Potok jak kryształ biały i czysty.

Na pianie słońce barw igra tęczą
I niebo schodzi na toń błękitną
I srebrne lilje u brzegu kwitną
I pszczoły z pasiek lecą i brzęczą.

A kiedy gołąb, chciwy napoju,
Skąpie w nim skrzydła strudzone lotem,
Nad śniegi bielszy wzbija się potem
Niepokalany zwiastun pokoju.

A gdy wędrowiec w toń rzuci oczy,
Oczy aż na dno lecą jak ołów,
Żądne zobaczyć białych aniołów,
Co tam pilnują modrych przeźroczy.

O, niesplamiona nurtów czystości!
O, niezmąconych źródeł ochłodo!
Krysztalna, świeża, ożywcza wodo!
Nadbrzeżnych kwiatów słodka wonności!

Lecz nie stać rzekom! — strumień wciąż płynie
Przez świat szeroki, przez gaje, pola,
Coraz nurt inny z nim się zespola,
Coraz-to częściej grzęznąć mu w glinie.

W coraz-to częstsze łamie się skręty,
Coraz w nim więcej szlamu i kału,

Pogasły cudne blaski kryształu,
Została ziemia i muł i męty.

I coraz wolniej błotem ciężarne
Toczą się wody na dnie koryta
I cała rzeka, nocą nakryta,
W jakieś czeluście zapada czarne.

IV.

Szumi sitowie... Powiew wilgotny
Skowycze w łozach jak dzika psiarnia,
Szalony smutek pierś mą ogarnia —
Dusza odeszła... dumam samotny...

Dusza odeszła, — na mchy mokradła
Pomięte skrzydła bez ruchu kładzie,
Czarne obsiadły ją wkrąg czeladzie
Jak stado sępów, zgłodniałych padła.

Noc głucha wokół. Wicher jesienny
Łka krwawym żalem zerwanych liści —
Dusza odeszła... Kto ją oczyści?
Kto wyrwie z kręgów ziemskiej Gehenny.

V.

Szumi sitowie... Pod memi stopy
Sączy się struga dalej a dalej;

Lecz jest kres czysty dla mętnej fali,
Są niezgłębione morza zatopy!

Oczyszczający wszystko ocean
Rozlał się ówdzie w błękitną ciszę.
Słucham... na falach Śmierć się kołysze,
Śpiewa zwycięski, zbawczy swój pean.

VI.

Szumi sitowie... Mgliste opary
Posępnym świtem bledną na wschodzie,
Stalowe błyski idą po wodzie,
Z głębi ciemności dzień wstaje szary.

Zmokły kruk krążąc nade mną kracze,
Myśląc o nowej a sutej stypie —
Wiatr mi na głowę zwiędły liść sypie —
Bez czucia siedzę na dżdżu i płaczę...

I.

Wszystkie rzeki idą w morze,
Jednak morze nie wylewa —
Żalem ludzka pierś nabrzmiewa,
Lecz rozpęknąć się nie może.

Z mórz wód nadmiar słońce spije,
Nowa kędyś tryśnie rzeka —
Lecz żalu z piersi człowieka
Nie schłoną usta niczyje.

Do...

Kiedy Cię wiosna wywabi z chaty
Na wyzłacane podbiałem drogi
I najpiękniejsze, pierwsze swe kwiaty
Jak Primaverze rzuci pod nogi, —
Kiedy drżącemi szepcąc wargami
Pytać się będziesz, co Cię tak wzrusza,
Że pierś tęsknemi wzbiera Ci łzami...
To będę ja, to będzie moja dusza.

Biegnąc rozłogiem przyjdzie Ci może,
Przez wiklin gęste pomykać haszcze
I będziesz rudej dziwić się korze,
Że tak mięciuchno skronie Twe głaszcze,
I będziesz pytać bazie i kotki,
Kto je nauczył wyciskać w pędzie
Całus tak czysty i taki słodki...
To będę ja, to dusza moja będzie.

Nazbyt pochopnym znużona biegiem,
Siędziesz gdzie może u Bożej Męki
I przyjdą do Cię skiby szeregiem,
A Ty, wsłuchana w ich szept cicheńki,
Będziesz pytała, skąd tyle głosów,
W których się polna spowiada grusza,

Ziemia i wody i dal niebiosów...
To będę ja, to będzie moja dusza.

A gdy półsenna, marząca gnuśnie
Cała się słońca oddasz pieszczocie,
Gdy ciepły wietrzyk włosy Twe muśnie
I serce zadrży, jak ptak w odlocie, —
Nie pytaj, czemu tak na bezkresie
Jako śnieżyste wisisz łabędzie
I jaka moc Cię w błękity niesie...
To będę ja, to dusza moja będzie.

WSPOMNIENIE.

Noc była ciemna. — Pamiętasz szum morza
I jęk, co spływał z mrocznego przestworza
I gasnął w brzegu z konającą falą,
A tak się żalił, jak perły się żalą,
Że nieodkryte leżą gdzieś pod piaskiem
Z całym cudownym czarem swym i blaskiem.

I śnić poczęły w nas obojgu dusze
O złotych gromach i o zawierusze
Wiosennej burzy... Niechby pękły wiosła,
Niechby ster prysnął! byle głąb wyniosła
W chramach milczenia drzemiące ospale
Łez Twoich perły i krwi mej korale.

Lecz sen snem został, cud nas w drodze minął.
Powiał po skroniach i w mgłach się rozpłynął.
I coraz było dookoła czarniej
I tylko ślepia nadmorskiej latarni,
Okratowane żelaznemi pręty
Rzucały rude smugi na odmęty.

A wtem dwa białe, nieskalane ptaki,
Jednakich skrzydeł i żądzy jednakiej,

Z ćmy wychynęły i naoślep razem
O szkła latarni, opiętej żelazem,
Pierś roztrzaskały i pod wieży stopy
Pokulkowały się jak krwawe snopy.

Milcząc ruszyliśmy po skalnej perci
Ciał ich poszukać, pozazdrościć śmierci
Pewni, że one tam kędyś pod wieżą
Z splątanem skrzydłem pierś u piersi leżą
I błogosławią tę moc oszołomień,
Co w burzy zmysłów rzuciła ich w płomień.

Lecz ni na fali ni w głazach nadbrzeżnych
Nie było śladu po latawcach śnieżnych,
A tam gdzie spadły, otulona w ciemnie,
Tyś tylko stała, zapatrzona we mnie,
Ja tylko stałem, zapatrzony w Ciebie,
Bez słów oboje i bez gwiazdy w niebie.

CZARNE RÓŻE.

I.

W dusznych cieplarniach krętej Amazonki,
Gdzie na wędrowca czyha śmierć cokroku,
Gdzie żółta febra czai się w puszcz mroku
I w topiel bagien cudne wabią łąki, —

Kędy kurarą napęczniałe strąki
Czekają tylko zbiórki i wytłoku,
A z każdej dziupli, gotowa do skoku,
Kobra swe giętkie wysuwa pierścionki, —

Tam drwiąc z ukrytych pod zielenią grobów
I życie ważąc za pomyślny połów
Snują się cicho dziwni łowcy kniei,
Byle dogodzić ambicji nabobów
I dla ich świetlic i biesiadnych stołów
Zdobyć najrzadszy z kwiatów orchidei.

II.

Lecz ja znam rzadszy, droższy kwiat. Niczyja
Dłoń się po niego chciwie nie wydłuża,
Bo ten kwiat dziką swą wonią odurza
I zwolna, ale niechybnie zabija.

Niewyczerpaną pełna jego kruża,
Lecz żaden motyl miodów z niej nie spija
I słowik trwożnie, zdaleka ją mija —
A kwiatu tego imię: czarna róża.

Jam krzew jej posiadł. W sadach mych tajemnych
Wyrósł mi w drzewo i tysiąc róż ciemnych
Opada z niego niby rosa czarna.
Kochana mi go zasadziła ręka,
Jak lilje biała, jak wierzb bazie miękka,
A jako płomień cicha i ofiarna.

III.

Każdego dzionka zrywam róż tych pęki
I w dłoniach niosę, niewidne nikomu,
Każdego dzionka do warg pokryjomu
Tulę je chciwie i szlę za nie dzięki.

Dar ten — przeczułem — musiał przyjść z Twej ręki!
Ty wiesz, Ty jedna śród świata ogromu,
Że w tym ogromie niema mego domu
Ni mego słońca ni mojej jutrzenki.

Ty wiesz, Ty jedna, żem jako podrzutek
I wywołaniec z dalekich gdzieś światów,
Nawykły innych gwiazd i innych kwiatów.
Ty znasz, Ty jedna, dni i godzin smutek,
Co z lica czasu spływa jak łzy duże
I krzepnąc w czarne zamienia się róże.

IV.

A obrodziły nam tak bujnie w sadzie,
Że mnie i Tobie na wieniec dość będzie
I kiedy życie do uczty zasiędzie
I win marsalskich rozperlą się kadzie, —

Gdy tak ogniście forminga zagędzie,
Że poczną szaleć biesiadne czeladzie,
I nam czół bladość djadem z róż oprzędzie
I maskę cienia na twarze pokładzie.

Nikt z lic nie pozna, nie dopatrzy zgoła,
Żeśmy kruszynki nie tknąwszy z ich stoła,
Zostali obcy hulaszczemu gronu.
Nikt nie wyśledzi ni z Ciebie ni ze mnie,
Żeśmy w zaświaty uszli potajemnie
Do mistycznego zasiąść symposionu.

V.

Ginę z pragnienia... Oto Ci z naczołów
Czarnych Twych różyc najpiękniejsza bodaj,
Łez pełna spadła. Ustom mym ją podaj,
Chcę uczestniczyć w komunji aniołów.

A tu Twój puhar. Nie drżyj, że on krwawy
Z wieńca się mego oderwał od ciemion,
Lecz spełń go do dna! — ujmiesz duszy brzemion,
Najsroższych brzemion pół-drwin i pół-sławy.

A gdy już dzień się nachyli do skonu
I noc otuli nas w swe giezła ciche,
By — wywołańców — powrócić ojczyźnie,
Od mistycznego wstając symposionu
Na pierś Cię wezmę i jak Eros Psychę
Poniosę białą między sfery wyźnie.

NA ROZSTANIU.

Gdy musisz odejść, odejdź, lecz nie gaśnij!
Bez Ciebie świat ten nie byłby mi światem.
Byłaś mi słońcem i wiosną i kwiatem
I najcudniejszą z czarodziejskich baśni.

Gdy musisz odejść, odejdź, lecz w pamięci
Zostań tęsknotą i duszy światłością
I tą silniejszą nad wszystko miłością,
Którą goreją natchnieni i święci.

Gdy musisz odejść, odejdź, ale we mnie
Będziesz, jak byłaś: słońcem, kwiatem, wiosną,
Bajką promienną i pieśnią miłosną.
Odchodzisz... Jużeś odeszła? — Daremnie!

N I G D Y.

Nigdy Ci się o zmierzchu, gdy zmrużysz powieki,
Nie zwiduje kraj dziwny, bliski a daleki,
Gdzie kolosy gór w niebo czarnym pną się szczytem,
Gdzie jeziora jak baśnie owiane błękitem
Mienią się w pawie oka, a nad kosodrzewem
Limba, królowa hali, upaja się śpiewem
Nakrytych tęczą kaskad lub płynącą z lasów
Melodją dzwonków, którym wtórzy pieśń juhasów, —
Kraj, gdzie piersiom tak wolno, oczom tak przestrono,
Że gdy rzeźwe podmuchy skroń młodą owioną,
Orle skrzydła i orle budzą się zachcianki:
Lecieć naprzełaj świata za niebieskie szranki —
Nigdy-ż Ci się, gdy szara nadejdzie godzina,
Ten bliski a daleki kraj nie przypomina?

To nasz kraj! my w nim żyli, choć w odmiennej stronie,
My chłonęli te barwy, te blaski, te wonie,
My chodzili po tęczach... Ach! czemu-ż zosobna?
Chwila była jedyna, jedynie sposobna.
Jednakie nas tęsknoty tam wiodły i dreszcze
I ta sama nam gwiazda była drogowskazem.
Oboje w kraj ten cudny wrócim nieraz jeszcze,
Lecz nigdy już, przenigdy nie będziem tam razem.

Czy pamiętasz zoraną gromem pierś Garłucha,
Wrót Żelaznych bezdenne, straszliwe otchliska?

Strumień, co z pod całuna śniegów tam wybucha,
Od wiek wieków swe wody w czarne źleby ciska,
Od wiek wieków po głazach kłębi się i wełni
I białą pianą parska jak rumak zziajany...
Prędzej on, stokroć prędzej tę przepaść wypełni
Błękitnem ukojeniem toni zwierciadlanej,
Niż my łzami, co pieką pod powieką suchą,
Nasycim maleńkiego „nigdy“ czeluść głuchą.

Nigdy!... nigdy w upłazku, gdzieś pod jedlic wiechą
Nie siędziem, przytuleni ramieniem i twarzą,
By łowić błąkające się po zboczach echo
Lub słuchać, o czem lasy u stóp naszych gwarzą
I o czem serca śnią w nas. Nigdy sny błękitne,
Najcichszem i najtkliwszem słowem niepochwytne,
Trwożliwsze niż muśnięcie jaskółczanej lotki,
A jednak swą pożogą zuchwalsze niż płomień,
Ukojeniem pieszczoty nie ockną się słodkiej,
Ani dośnią na ustach jawą oszołomień,
Ani wwiodą do raju przez zaparte wrota...
Pozostały z nich jeno łzy, żal i tęsknota.

Skarb wielki, ale smutny jak ten szloch jesieni,
Co w złotych, lecz opadłych już liściach szeleści.
Wiosna była i przeszła. Resztkami promieni
Na kanwie wspomnień dzierga finale powieści,
Co się zwała młodością... O szarej godzinie
Jeszcze leci gdzieś w Tatry, dolinami płynie,
Wita się z każdą ścieżką, z zielonym upłazem,
Z każdym kwiatem, niedanym Ci i zwiędłym marnie,
I wszędzie niesie z sobą tę samą męczarnię:
Nieraz w kraj ten powrócim, lecz nigdy już razem!

PO LATACH.

W dali... w zasnutej mgłą jesienną dali,
Pośród milczących drzew i zeschłych traw,
Błądzą przy piersi pierś jak biały zjaw,
Oczarowani sobą i nawpół omdlali.

Cała dusz ich namiętność w skrach oczu się pali,
Przez ocean tęsknoty do gwiazd rwą się wpław...
Związał ich raznazawsze losu ślepy traf,
Choć raz tylko przelotnie w życiu się spotkali.

I nigdy się już ziemskie ścieżki ich nie przetną,
I nigdy nie zaznają zwartych ust słodyczy,
Ani serca w nich kiedy zakrzykną: hosanna!
Duszę ich zbyt wrażliwą czy nazbyt szlachetną
Jak rdza zeżre tęsknota szczęścia nieustanna,
A nikt im za zasługę tego nie policzy...

II.

W SIANOŻĘCIE.

Za ostatnią furą siana
Polny mostek skrzypnął gdzieś,
Gdzieś ostatni sierp zadźwięknął,
Śpiew ostatni zapadł w wieś.

Jeszcze tylko kędyś w dali
Dymy przędą białą nić
I półmiesiąc z chmur wychodzi
Chłód i ciszę nocy pić.

Wywabiony jego blaskiem
I ja brodzę pośród ros,
Ale próżno żar w nich topię...
Stleć na popiół — to nasz los.

Z MELODYJ JESIENNYCH.

W ogrodzie mym śród zielsk i traw
Zbutwiała pełza woń.
Strącony dżdżem padł liść na staw
I gdzieś zapada w toń.

W ogrodzie mym śród nagich drzew
Mgły siwe, siwa szadź —
Z jarzębin kapie żywa krew
I leci z wichrem łkać.

W ogrodzie mym najbielsza z brzóz
Po liściu roni liść...
Dom mi się cały wali w gruz,
A nie wiem dokąd iść.

WIECZORNY DZWON.

Dzwony... *Ave!*... Dzień skończony. Zgrzytnął pług, co [skiby kraje,
Brony, koń do bron wprzężony i poganiacz ich ustaje.
Słońce dogorywające gaśnie pośród chmur zachodu,
W łące już usypiające kwiaty tchną zapachem miodu.
Zdala głos się wykrysztala, dymy z pól jak widma suną,
Fala mgieł się gdzieś rozpala purpurowej pełni łuną.

Drogą polną ku rozłogom idę, zmierzch mi towarzyszy,
Błogo mi, że wkrąg nikogo niema oprócz mnie i ciszy.
Wgórze tylko na lazurze, kędy przestwór się wysklepia,
Duże niby złote róże płoną gwiazd jarzęcych ślepia,
Płoną żagwią niezgaszoną od stuleci do stuleci, —
Łono me ku nocy tronom wzbiera łzą, myśl w bezmiar leci...

GLADIOLA.

Pod zachód słońca idę ugorem.
Naprawo pola, nalewo pola,
Trącona wiatrem, wpoprzek mej ścieżki,
Amarantowa gnie się gladiola.

Tuzinem pyszczków rozwartych ku mnie,
Tuzinem oczu wpatrzonych we mnie
Natrętnie dłoni mej się napiera...
Nie! nie tknę ciebie, prosisz daremnie.

Nie — żebym gardził twą nikłą krasą,
Nie — żebym zanieść nie miał cię komu,
Jeno dlatego, że z twoim zgonem
Cośby ubyło z tych pól ogromu.

Śród brzmień, falowań, kształtów i blasków,
Co się stapiają w świata harmonię,
Kto wie, czy pierwszych nie grają skrzypiec
Twe niepozorne barwy i wonie.

POD WIERZBĄ PRZYDROŻNĄ.

Złote jaskry, srebrne mięty
I łopuchów szara kiść —
Ponad niemi w dach rozpięty
Rozpłakanej wierzby liść.

W głębi szmaragdowej wiechy
Jakaś tęskna piosnka łka —
Rzekłbyś, że to przez uśmiechy
Gorzka się przesącza łza.

Pośród szmaragdowej strzechy
Tajemniczy szmer i ruch —
Z wiotkiej białych baziów wiechy
Zrywa wiatr za puchem puch.

Dziwny posiew, dziwne pieśnie,
Dziwem cały przestwór tchnie —
Wpół na jawie, napół we śnie
Niby czuwam, niby śnię.

Cały w srebrnych baziach we mnie
Zapamiętał się mój duch —
Uroczyście i tajemnie
Płynie w dal za puchem puch.

NA NUTĘ PSALMODYJ.

I.

Sygnaturka na dwa głosy
Łka na wieży jak skowronek, —
Wykąpany w kroplach rosy
Wstaje świeży, cudny dzionek.

Między malwy i lawendy,
Co nad ścieżką chylą czoła,
Ukasawszy rewerendy
Śpieszy proboszcz do kościoła.

Jak on, spragnion manny słodkiej,
Sunę za nim... lecz przed progiem
Skręcam w pole przez opłotki,
By sam-na-sam zostać z Bogiem.

II.

Nad wygonem nieruchomie
Dymią srebrne trybularze.
Idę — pyłek mdły w ogromie —
I melodje senne marzę.

Błękitniejsze od cykorji
I strzelistsze niż dziewanna...
W jesiennego słońca glorji
Tobie, Panie, ta hosanna!

III.

Przeoczony przez sierp żeńca
Badyl ostał się u rżyska,
Nikły powój go okręca
I nad ściernią kwiatem błyska.

Litanijnie się koleba,
Osierocon na swym lichu, —
Daj mi, Panie, tyle nieba,
Ile on go ma w kielichu.

Ciszę serca tchnij w pierś moją,
Niech już gra czczych słów ustanie —
Jakeś polnym dał powojom,
Nieme usta daj mi, Panie!

Nieme usta, ślepe oczy,
Tylko czucia zmysł mi zostaw —
Kręto nić mych dni się toczy,
Lecz ją weźmij na Twój postaw.

Na złocistych gwiazd warsztacie
Dłoń Twa płaszcz i z pakuł utka —

Niech do stóp Twych po tej szacie
Spłynę niby łza cichutka.

IV.

Z tajnych prząśnic, z chmur kądzieli,
Z mgły różanej ponad lasem
Wysnuwają wciąż anieli
Całe motki srebrnych pasem.

Ku tym motkom i rańtuchom
Głos się z niw podnosi zżętych, —
Powtarzają puchy puchom:
To jest miejsce święte świętych!

W pozłociste się tuwalnie
Wsnuwa promień po promieniu...
Przez pól rośnych ubłagalnię
Idę w niemem zachwyceniu.

NAD STAWEM.

I.

Z wierzby zgiętej ponad stawem
W glorjach wrześniowego słońca
Patrzę w cichą toń i śledzę
Liście, które powiew strąca.

Z przytuloną do pnia piersią
Siedzę, by nie spłoszyć zjawu
Liści złotem malowanych,
Całujących błękit stawu.

— Co wam każe się odrywać
Od szypułki macierzystej?
Czy ta krótka chwila lotu
W blaski fali przeźroczystej?

Czyż zamało wam posiłku
W słodkiej, z ziemi ssanej szczawie,
Że wolicie się z nią rozstać
Dla modrego nieba w stawie?

Cóż wam z tego, że na toń tę
Złote gwiazdy nocą spadną,

Skoro — ledwo je muśniecie —
Tajnia wód was wciągnie na dno.

Za ten promyk niedopity
W krótkim pocałunku nieba
Raznazawsze, ach! na wieki
Z słońcem się pożegnać trzeba.

Nie słuchają, nie badają
W czem się dla nich lot ten ziści —
Uroczyście mżą i prószą
Coraz rojniej i rzęsiściej.

II.

Przytulony do pnia wierzby,
Na jej pierś zaplótłszy ręce
Patrzę, jak po toni brodzą
Tataraki i kaczeńce.

Poprzez smukłe ich łodygi
I splątany w spodzie korzeń,
Widzę śród oślizłych iłów
Czerń dziwacznych jakichś stworzeń.

Kałużnice i kijanki
Z łba podobne do złych smoków
I pokraczne, długie wije
Żerujące w gęstwi mroków.

A w tych mrokach, kędy zamąć
Ruszonego mułu rzedsza,
Błyska tęczująca bańka
Wciśniętego weń powietrza.

Skąd się ona aż tam wzięła?
Kto ją wszczepił pod tą głębią,
Kędy obrzydliwe wije
Głodnym mackiem swym się kłębią?

Skąd te na niej jasne tęcze,
Które gady szlamem błocą?
Toń czy ziemia ją wytchnęła,
A jeżeli tak, to poco?

W odpowiedzi drgnęła lekko
I po małej chwili — widzę —
Od listeczka do listeczka
Wgórę pnie się po łodydze.

Jeszcze jej kosmata włochać
Tu ją schwyci, tam przytrzyma,
Ale ona niestrudzenie
Coraz wyższych trzcin się ima.

— Zostań! zostań! czyż ci źle tam
Uczepionej u ździebełka?
Tam pod falą tak bezpiecznie,
Grom nie bije i wiatr nie łka.

Zostań! zostań! czyż ci nie dość,
Że tak świecisz śród zamąci?
Ledwo dotkniesz wodnej tafli,
Tafla tęcze twe roztrąci.

Próżne słowa i przestrogi,
Próżno szuwar ją koleba...
Na nic wszystkie kołysanki
Gdy raz znęci błękit nieba.

Wyplątawszy się z morszczyzny
Wpław się niesie ku przeźroczy,
Jeszcze chwila a rozpryśnie!
Już prysnęła... mrużę oczy...

III.

Na pniu wierzby, pochylonej
Nad kaczeńce i sitowie,
Roję dumy, których nigdy
Ludzka mowa nie wypowie.

Pod zmrużoną mą powieką
Maja welon swój przesnuwa —
Myśl odbiegła gdzieś daleko,
Tylko dusza jeszcze czuwa.

Tylko czucia zmysł pozostał
I choć wplecion w kręgi bytu

Nieodparcie i natrętnie
Żąda napić się błękitu.

I w tej JEDNI, co miljonem
Różnorakich form się toczy,
Z liściem wierzb i bańką wodną
Współczująco się jednoczy.

NA WYRĘBIE.

Verax: Chodźcie, pójdźcie... i wy, coście owładnęli głębią oceanów i przestworem powietrza, — i wy, co lądy przeinaczacie i w swej wyobraźni jarzmicie naturę, a w istocie mniej zmieniacie jej oblicze, niż powiew wiatru zmienia wosczynę na jabłku...

M. Szukiewicz, „Maja" akt IV. sc. 4.

I.

Serpentyną las przecięty...
Stoją kręgiem sosny gonne,
Macierzanki, wrzosy, mięty
I bylice dziwożonne.

Stoją zdala od tej wstęgi,
Co — choć z szutru i żelaza —
Bez wytchnienia i mitręgi
Het! w nieznaną dal się płaza.

Uskoczyły wlewo, wprawo
Gdy drwa w sągi układano —
Wyrąb pokrył się murawą
I do słońca legł polaną.

II.

Jakiś słodki dreszcz przestrzeni
Zapowiada już południe, —
Czasem listek zaszepleni,
Zresztą cicho i odludnie.

Ambry oszołomiające
Biją z ziół jak z trybularza, —
Upojone niemi słońce
W jaskrach się złocistych tarza.

Wtem... któż z kwiecia kiść tam osmykł?
Drgnęła paproć i łopuchy,
Z pod łopucha wyjrzał kosmyk,
Za kosmykiem czub i słuchy.

Wreszcie cały z traw wychynął,
Krótkim chwostem jak cap macha,
Dłoń kosmatą w trąbkę zwinął
I w świat parsknął: hi-hahaha!

III.

Na ten chychot, na ten sygnał,
Co się w boru echem dwoi,
Jakby ich z pod ziemi wygnał,
Cały wyrąb się zaroi.

Tłum z wszelakich tworów złożon:
Krasnoludki, dziewięsiłki, —
Śnieżne łona u dziwożon,
U kosmaczów płowe tyłki.

Hi-hahaha! do roboty! —
Tu przez małe oczko w korze,
Mimo swe obrotne sploty,
Wij przecisnąć się nie może.

Tam trza larwie zluźnic pieluch
Lub ją wydać pewnej śmierci,
Ówdzie trzmiel, choć nie topieluch,
W wodzie się jak krętek wierci.

Mała żabka zieloniutka
Skacząc nadwichnęła sprężyn —
Trzaby jej koniecznie z udka
Wyjąć twardy cierń ostrężyn.

Ostrężynom zaś jagody
Tak przewiesić u gałązki,
By w ziem pulchną, nie do wody
Upadały ich zawiązki.

Wkońcu — hi - hahaha! — wkońcu
Pozapylać wszystkie kwiaty,
Wszystkim samkom kazać w słońcu
Najpiękniejsze przywdziać szaty,

Aby jurnych samców oczy
Wypatrzyły je coskorzej...
Niechaj życia krąg się toczy!
Twór w twór rodzi, walczy, mnoży!

IV.

Wtem w dębowych progach trzasło,
Kół stukotem las zadudnił, —
Momentalnie jak na hasło
Cały wyrąb się wyludnił.

Przycupnęły dziewięsiłki,
Skrył się kosmacz ostrouchy,—
Tylko w słońcu mgłą się pyłki
I rokicin srebrzą puchy.

W dali, gdzie żelazna wstęga
Las rozcina na dwie ściany,
Z kłębów dymu się wylęga
Potwór czarny i zziajany.

Pogwizduje, stęka, sapie...
— Z drogi skały, rzeki, bory!
Etap biorę po etapie,
Nie znam kresu ni zapory.

Obrzydliwe moje piece
I swąd żużla pośród szutru,

Za to z królem stworzeń lecę
Ku nowemu świata jutru.

Wszędzie węszę, wszystko macam,
Dla mnie nie jest nic zawiłe, —
W jeden cal mil tysiąc skracam,
W wosk ugniatam ziemi bryłę.

W garnuś przelać wód ocean,
Toć to dla mnie czysta farsa
I już wnet zaśpiewam pean
Nie tu, lecz na lądach Marsa.

V.

Kosmacz patrzy, uchem strzyże,
Łapą w kłęby wpił się sośnie, —
Pień korzeniem zgrzytnął w żwirze
I na szyny padł ukośnie.

Smok zziajany warknął gniewnie,
Kły żelazne wbił w cetyny,
Sapnął, syknął i... po drewnie
Na łeb runął z serpentyny.

Kotły krwawą śliną rzygły,
Trzewia popękały w brzuchu, —
Taki dufny, niedościgły
I ot! leży już bez ruchu.

Biegł swą sławę piać na Marsie,
Wieczne słońc podważać osie,
A na głupiej kłodzie zdarł się
I bezwładny leży w fosie.

VI.

Hi! - hahaha! — pean krótki
Zachychotał znów po lesie, —
Wyskoczyły krasnoludki,
Każdy sobie samkę niesie.

Tyle soków kipi w łonie,
We krwi tyle żądz i wrzawy! —
Już ku każdej dziwożonie
Kosmacz przysiadł się cisawy.

One gżą się jak świerzopki
Unoszone na ich łapach, —
Trop ich znaczą tylko bobki
I jełkiego potu zapach.

W gąszcz zapadli, — a polana
Tak jak przedtem leży cicha
I półmrokiem już zalana
Przedwieczorne mgły wydycha.

Skrzypią świerszcze tajemniczo,
Kapią czarne łzy ostrężyc...
Z pobłażaniem i słodyczą
Patrzy na to wszystko księżyc.

III.

„Kiedy ranne wstają zorze...“
Oto świt, lecz głucho wkrąg, —
Tylko krzyż gdzieś na ugorze
Skrzypnie, kruk się zerwie z łąk,
Nadpalony węgieł runie,
Niedogasła błyśnie skra
I tak pełga po całunie
Jak paląca, krwawa łza.

Oto ranne weszły zorze
I rumienią cmentarzysko...
Tyżeś-to zszedł ku nam, Boże,
Na przymierza święty znak?
Bo i bór i sad i rżysko
Niby gorejący krzak
Potraciły liść i kwiat,
Pozwieszały krasę czół,

A lud, kędy stał — tam padł
I nietylko ciżmy zzuł
I nietylko oczy skrył
Oblicznością Twą przepalon,
Lecz się cały w ziemię wrył,
W łono matki-karmicielki...

Strasznyś, Panie, lecz pochwalon,
Bądź za wszystko, Boże wielki!
Świętą Twoja wola święta,
Niechaj wedle niej się stanie
Nie jak my, lecz jak Ty chcesz.

Jednak Panie, Panie, Panie!
Czyliż ślepym był Twój grom?
Nam nietylko spłonął kierz,
Nam nietylko spłonął dom,
Ale razem z nim pisklęta!
Takie małe, szczebiocące,
Ukochane, jasnowłose,
Co Cię miały za obrońcę,
Gdyś Ty na nie puszczał kosę!...
A z tych piskląt żadne, Panie,
Nie wichrzyło jak Absalon,
Obce były zdradzie wszelkiej...
Gdzież Twój grom miał oczy? gdzież?!!

Niech Twa dobroć nie pamięta
Słów tych, Panie! i pochwalon
Bądź Ty od nas, Boże wielki.
Świętą Twoja wola święta,
Niechaj wedle niej się stanie
Nie jak my, lecz jak Ty chcesz.

Oto ranne weszły zorze,
Ale głucho, cicho wkrąg, —
Jeno krzyże na ugorze
Nakształt wyciągnionych rąk,
Jeno głogi na wygonie
Niby krople skrzepłej krwi
Lśnią wśród ciernia, jak w koronie,
Którą ongiś dano Ci...
Czyżbyś, Panie, tę ziem pustą,
Te gromami zryte pola,
Weroniki chciał mieć chustą?
Wśród tych mogił, wśród tych cisz
— Dziej się święta Twoja wola! —
Odcisnąłeś łzy i krew,
Odcisnąłeś męki krzyż,
Co się aż w niebiosa piętrzy.
Dla tych krzyżów, łez i cierni,
Twój w tem, Panie, czując zew,
Chuście tej zostaniem wierni
Jak relikwji przenajświętszej!

Oto ranne weszły zorze,
Krwawo, głucho, straszno wkrąg,
Ale ostał pług, co orze,
Ino nie żałujmy rąk!
A Ty, Panie, ziemi włodarz,
Coś dziś odjął — jutro dodasz
I użyczysz takiej sochy,
Co gdy wetnie się w tę ziem,
Wydobędzie z niej nie prochy,
Nie upiory z piętnem win,
Ni chochoły, zjęte snem,

Jeno żywych pokolenie
I serc czystych czysty czyn, —
Serc, co przepomniawszy męki,
Nie dla skargi — dla podzięki
Wzniosą wolnych ojców pienie:
„Kiedy ranne wstają zorze...“

PAMIĘCI „ORLĄT“ LWOWA.

W granatowym mundurku, wątlejszy od chabin,
Nie pacholę, lecz dziecko, pomykał zaułkiem.

— Gdzież ty wleczesz ten większy, niżeś sam, karabin?
Dokąd chłopcze?

„Z studenckim połączyć się pułkiem.
„Brat poszedł, tato poszedł i ja chcę tak samo,
„Tylkom się dłużej od nich musiał żegnać z mamą —
„Płakała, gdym odchodził“.

— Wróć, wojna nie żarty.

„Powrócę, proszę pana, ale jak do Sparty:
„Z nią albo...”

— Cicho, nie kończ! mrok się czarny wlecze
Posłyszy cię niewporę i jeszcze urzecze.

„Powrócę!

I powrócił, lecz nie z nią, a na niej...

— Bardzo cierpisz?

„Troszeczkę. — Karabin nie włócznia,
„Hektor ryczał, a kula bezboleśnie rani.
„A gdybym nawet.... co tam o jednego ucznia!
„Dobrze mi tylko słabo i w oczach mi ciemno,
„A tam mama się trapi... Póki wiem przytomnie,
„Powiedzcie jej... o! przyszła, schyla się nade mną...
„Przepraszam cię, mamusiu, a pamiętaj o mnie..."

* * *

Świetlani wy i piękni, wy Spartanie Lwowa!
Polska pośród relikwij krew waszą przechowa
I siemię bohaterstwa, tkwiące w niej nawieki,
Z łzą wielką, większą dumą zsypie w swe sąsieki.

JAK „BERBECIE“ DAŁY NAUCZKĘ BRYGADJEROWI BERBECKIEMU.

Gawęda żołnierska.

Było to... nazwy wsi nie pomnę,
Bo któż spamięta wszystko?
Brygadą szliśmy naprzemiany
Przez piach i trzęsawisko.

Już tydzień żaden nie zzuł buta,
Ani poluźnił spodni,
Toż wlekliśmy się niewyspani
I — prawdę mówiąc — głodni.

A jako forszpan, sił ostatek
Wydobyć chcąc z koniska,
U dyszla wiąże mu obroki
Dalej niż długość pyska —

Tak i brygadjer nasz corano
Po zbiórce zapowiada,
Że wieś zasobna tuż przed nami
I nocleg się w niej nada.

Więc wyciągamy nasze giry,
Pachnie nam łyżka warzy,
Już widać dymy... a wtem rumor
U przednich wszczął się straży.

Patrol wróciła się z meldunkiem,
Że wieś niegorsza miasta
I droga dobra, lecz ją wpoprzek
Kolczaty drut zarasta.

A za tym drutem Mochy na nas
Czekają już z wieczerzą —
U luf widelce założyli
I białe zęby szczerzą.

„Chłopcy — odzywa się brygadjer —
„Czyż trzeba wam zagrzewki?
„Przed nami wioska, a w niej nocleg
„I rade zuchom dziewki".

„Tego, co przeszedł Karpat szczyty
„Zasieki nie zastraszą.
„Hej chłopcy! wszakże się nie mylę —
„Dziś jeszcze wieś ta naszą".

Spojrzelim sobie rzędem w oczy.
A szukać ich trza było,
Bo wszystkim wpadły het do głowy —
Ledwo się coś tam skliło.

Spojrzelim sobie rzędem w oczy
I nie gadając wiele
Karabin z ramion i z plecaków
Kładziemy se pościele.

Brygadjer, mierząc nas spodełba,
Wlot poznał, że nie chyci. —
„Dobrze — powiada — więc piecuchów
„Wyręczą taboryci".

„Gdyście zdrożeni — spoczywajcie,
„Broń ustawiwszy w kozły.
„Do szturmu za was pójdą ciury,
„Co chleb za wami wiozły".

W brygadzie różnie tam bywało,
Człek zażył dość wyćwiki,
Ale tak włazić nam na honor..,
Przecieśmy nie łaziki!

W brygadzie różnie tam bywało,
Człek czesał, był czesany...
Ale co nadto, tego nadto!
My — tchórze? zuch — forszpany?

A niechby pies im mordę lizał!
Nas ubiec mają drańcie? —
Choć nam po kościach mroczki łażą
W bój prowadź nas, sierżancie!

Bagnetem a nie taborami
Żołnierz pozycje bierze
I drwić ze siebie nie pozwolim
Śpasowny brygadjerze!

W trzech szturmach wzięliśmy zasieki,
Za nami tabor wjechał —
Brygadjer niby połknął mydło
Lecz w gruncie się uśmiechał.

„Niekarne — rzecze — z was berbecie,
„Ale też i nie kiecki..."
Więc my go wgórę: „Niech nam żyje
Brygadjer nasz, Berbecki!"

NAOPAK.

Gawęda żołnierska.

Gdzie on i kiedy przystał do nas
I jak się zwał? — niewiada.
Może się od kompanji odbił
Jak młody wilk od stada,

Może mu nędza w jego chacie
Wyjadła wszystko z kotła
I do nas go, jak tylu innych,
Mietlicą swą przymiotła —

Dość że się plątał między nami
Ni żołnierz ni to chłopak,
A że opacznie wszystko robił,
Przezwano go „Naopak".

Nieraz ordynans pułkownika
Chcąc, by przytrzymał konie,
Krzyknie: „Naopak, bier za uzdę!" —
On chwyta podogonie.

Nocą z pierzyną się nie rozstaj,
A z kocem niedopiero —

On nie śpiąc chodzi i zziębniętych
Otula własną derą.

We dnie pot płynie z nas kroplisty,
„Stać! — Spocznij!“ — brzmi komenda.
Stajemy tedy lub siadamy —
Naopak wciąż się szwenda.

„Wytchnij, bo w marszu nam ustaniesz...“
On tylko zęby szczerzy
I znika z oczu, by po chwili,
Wody nam przynieść świeżej.

Codziennym już nam ta przekorność
Stała się wkońcu chlebem,
Lecz trudno było jej przywyknąć,
Gdy szło się za pogrzebem.

Człowiek nie rosnął na mazgaja,
Żołnierskie piersi dumne,
Jednak, gdy chwila już nadeszła,
Że w ziem spuszczano trumnę,

Ukradkiem, ale wszyscy płaczem
My, wojownicy starzy —
Tylko Naopak się uśmiecha,
Pogląda wdal i marzy.

Aż i wymarzył sobie chwilę
I spłatał nam opaczność,

Że przed nim z salwą i bębnami
Stanęliśmy na: Baczność!

Wymarzył sobie taką chwilę,
Że kiedy o niej wspomnę,
Oczy mi wilgną i po wąsach
Spływają łzy ogromne.

A stało się to w taki sposób:
Nas setka i chorąży
Obiadujemy na biwaku,
Czarka z rąk do rąk krąży.

Pułk krzyż Virtuti Militari
Dostał, więc jak na święto,
Choć front mieliśmy o dwie wiorsty,
Sztandar do drzewc przypięto.

A wtem jak piorun, prędzej chyba
Niż spadająca gwiazda,
W galopie prosto na nas wpada
Nieprzyjacielska jazda.

Porwaliśmy się, lecz że w czubie
Już mieliśmy potrochu,
Więc... tfy! rumienię się dziś jeszcze! —
Zaczęlim wiać w popłochu.

Wiejemy w las, gdy wtem Naopak,
Że wieczny był przechera,
Za sztandar porwie i niezlękle
Na wroga sam naciera.

Docna otrzeźwił nas ten widok,
Kupą mu biegniem w pomoc...
Hej, szablo! jakeś wówczas tłukła,
Zawsze mi już tak łomoc!

Hej, łomotałaś tam okrutnie
Na ciał poległych kopcu —
Wróciłaś sztandar, czemuż życia
Nie mogłaś wrócić chłopcu?

Bo kiedy wroga odegnawszy,
Podnieślim jedwab z ziemi,
Naopak pod nim spał naprzekór
Z oczyma otwartemi.

Naprzekór nam, krwią umazanym,
On jeden miał twarz bladą,
A gdyśmy pieszo szli za ciałem,
On jechał sam z paradą.

Tak to Naopak całe życie
Okrutny był przechera,
A i po śmierci, bo pogardził
Imieniem bohatera.

Pogardził sławą i rozgłosem,
Dla których żołnierz pada.
Legł zapomniany i dodziśdnia
Gdzie jego grób? — niewiada.

LIST DO BRACI WYCHODŹCÓW

wysłany na ręce brata mego Wojciecha.

Piszę do ciebie, bracie mój, za morza
A w list ten wkładam i łzy i uśmiechy, —
Łzy promienniejsze, niż ta jasna zorza,
Co nad naszemi rozpłonęła strzechy,
A uśmiech słodszy, niż ten poszum zboża,
Co, bławatami strojne mając wiechy,
Przy sennym wtórze przydrożnego drzewa
O polskiej ziemi rapsod Polsce śpiewa.

Piszę do ciebie, a w każde me słowo
Chciałbym wiosenne powplatać stokrocie,
Każdą stokrótkę zmienić w baśń tęczową
A każdą tęczę wykąpać w tęsknocie.
Zwabiony taką kładką kolorową
Jużbyś nie oparł się snom o powrocie
I, nie zważając na burze i piany,
Zawitał dodom, tak oczekiwany!

Nie przez nas tylko, — tu wszystko dokoła
Powrotu twego wygląda i czeka:
I te śród sadów zadumane sioła,
I wygon polny, co pod las ucieka,
I ta pastuszków pieśń, zbliska wesoła

A taka smętna, gdy słuchać zdaleka,
Przy której w blaskach posłonecznej żarzy
Stęskniona dusza wspomina i marzy.

Pamiętasz dworek podobny do arki,
Bo cały z bierwion i na zrąb stawiany?
Dziki chmiel w ganku owijał filarki
I wić zieloną przerzucał na ściany,
Gdzie pod okapem, na swej lotce szparkiej,
Co oderwała się z wianka Goplany,
Zwinna jaskółka, kochane maleństwo,
Wiosnę nam niosła i błogosławieństwo.

A sad pamiętasz i starą w nim gruszę?
Cierpki już owoc rodził pień spróchniały
I tylko zimą smaczne z niego susze
Dymy jałowca dobywać umiały.
Poczciwe drzewo! — lecz o zawierusze
Kiedy smagane niem gonty trzeszczały,
Choć Kruczek w nogach leżał na kołderce,
Strach brał, że — zda się — zamrze w piersiach serce.

W tym samym dworku — tylko przymruż oczy
I daj swobodnie ulatać pamięci —
Pierwsza już gwiazda błysła śród przeźroczy
I obrus pachnie wonią sianożęci.
Opłatek wszystkich przy stole jednoczy,
Tylko w bawialni jeszcze się ktoś kręci
I przez drzwi słychać jak świeża cetyna
W ogniu się świeczek nadpalać poczyna.

Starsi kolejno wstali od wieczerzy.
Każąc cierpliwie czekać nam w półmroku.
A wtem z bawialni jakiś blask się szerzy —
To anioł drzewko przyniósł jak coroku
I matki głosem śpiewa: W żłobie leży...
Człek dużo gubi śród życia natłoku.
I my zgubili po drodze niejedno,
Lecz polskie wilje do grobu nie bledną.

W tym samym dworku — pomnisz? — o szarówce,
Gdyśmy wkilkoro w zacisznej alkowie,
Do matki tuląc się główka przy główce,
Na każdem ust jej zawisali słowie.
Pod jej zaklęciem wstawały wkrąg hufce
W burkach powstańczych... „Niech mama opowie,
Jak to mamusia, samiusieńka ino,
Kosy nosiła w las pod krynoliną".

I po dziesiąty raz a może setny
Przed wpatrzonemi w ogień na kominku
Snuł się poemat, żywą prawdą świetny:
Jak ojciec oddział swój trzymał w ordynku,
Jak z gołą pięścią szli na bój bagnetny,
Jak piękny Suzin padł na Kozim Rynku,
Jak młódź piwnicom niosła i poddaszom
Hasło: za wolność! za naszą i waszą.

W takiej my oto wyrastali chacie,
Aż i dojrzeli do... jarzma i pletni!

W tej wielkiej kaźni o więziennej kracie,
Gdzie podli płużą a giną szlachetni —
W kaźni, gdzie miljon łbów roztrzaskaj, bracie,
I miljon piersi napoły rozetnij,
A nic nie bryźnie ci z nich prócz cykuty
I żółci, którą niewolnik zatruty, —

W tej wielkiej kaźni, podobnej do grobu,
Jedni bez szemrań brali jej stygmaty:
Miedziane czoła i dosyt u żłobu, —
Drudzy spalali się żertwą obiaty
Albo szli szukać w innej stronie globu
Skrajuszka ziemi pod obce tu kwiaty
Prawego czynu, co nagród nie czeka,
Bo je znajduje w godności człowieka.

I otoś poszedł po ojcu i dziadzie
Śladem skrwawionych stóp Pana Balcera.
Dziś ci już zima szrony na skroń kładzie
I z rąk strudzonych wypada siekiera,
Co na palmowym gdzieś stępiała sadzie,
A jeszcze z losem duch się twój rozpiera
I woli więdnąć tam pod niebem wrażem,
Niźli się nagiąć do hańby i jarzem.

Lecz dzisiaj.. Bracie! jeśli tam w pobliżu
Masz gdzie kościółek lub przydrożne świątki,
A gdybyś, pociech nie znajdując w krzyżu
I w archaniołach widząc tylko łątki,

Znał za to Boga szczytów, a nie niżu
I w dżunglę chodził na ducha obrządki,
Jeśli do ciebie najwyższa moc Boża
Przemawia rykiem spienionego morza, —

Pobiegnij w dżunglę i, choćby miał ciernie,
Uściskaj każdy pień, co wolny rośnie.
Idź w góry, groźną piorunów hamernię
I niezjarzmione skały tul miłośnie,
Lub stań nad morzem, kędy wzrok bezsternie
Buja przez fali niekiełzanej nośnię,
I krzycz i wołaj i pląsaj i szalej,
Żeśmy swobodnej Polski doczekali.

Sen trzech pokoleń i najświętszy cel ich,
Co gnał je w Egipt z pod Alpów podniebnych,
Sercem przeczuta przez mgławych Anhelich
Czerwona zorza na lodowcach srebrnych,
Dzień, w którym wreszcie gethsemański kielich
Po brzeg wypełni się od łez prosiebnych
I pęknie grób ten stojący śród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata, —

Dzień ten powstaje już nad polskim łanem
I promienista wieści go jutrzenka.
Jeszcze krąg słońca, jak to bywa ranem,
W pełnym swym blasku wytoczyć się lęka,
Jeszcze się włóczą po niebie świetlanem
Mgły, które wrogów rozpostarła ręka,

I potężnego trzeba duchów radła,
By z nas Dejanir płachta całkiem spadła, —

Ale nie musim już służyć nikomu
I śród narodów giąć się jak kaleka
I żebrać z twarzą płonącą od sromu.
Dziś my z godnością wolnego człowieka
Panami sobie jesteśmy w swym domu,
Plony do swego suć będziem sąsieka
I to, co ziemi swej winniśmy długiem,
Oddamy sercem i myślą i pługiem.

Więc kiedy list ten, bracie mój, za morza
Przyjdzie do ciebie, jak łzy i uśmiechy,
I w progu stanie niczem jasna zorza,
Co nad naszemi rozpłonęła strzechy,
I serce muśnie ci poszumem zboża
Śpiewniejszym stokroć niż palmowe wiechy, —
Słowami jego drogę sobie skracaj
I — wolny człowiek — w wolną Polską wracaj.

POWRÓT.

Lat sześciu wieczność, bez dachu nad głową,
Bez żadnej winy, a przecie wygnańce,
Żyliśmy w pustkę rzuceni jałową
Pomiędzy ciała i dusz obszarpańce,
Gorsze od katów. — Pod ich śpiew, miarowo,
Bór nam kazano ciąć lub sypać szańce,
Więc czy z niebiosów żar prószył czy śniegi,
Szliśmy, zgubione pośród zasp szeregi.

Szliśmy z zadusznych uciekając komór,
Podobnych raczej do zatęchłej dziupły,
Gdzie przyczajone w kątach śmierć i pomór
Ciągnęły o nas jak o łup swój, supły.
Smutni brodacze tłukliśmy łbem o mur,
Kobiety nasze zmilkły i pogłupły
I gdzieś przed siebie martwo poglądały,
Jak te ikony, tkwiące u powały.

Złorzecząc dniowi, co się budził brudny
Od mgieł i dymów wiszących nad rzeką.
Sunęła artiel niby wąż marudny
Z głową na przedzie, z ogonem daleko
Wstecz odrzuconym. Ku tajdze bezludnej
Podobnych widmom, co się w otchłań wleką

Dzieńwdzień nas gnano, nawet i bez bata —
Bo kat innego wziął tam w pomoc kata.

Nikt go nie widział na śnieżnej rozstai,
Ani, by z wydmy porywał się kłębem.
Czuliśmy jednak, że na dnie ruczai
On-to soplistym błyska ku nam zębem,
On pod kołtunem sennych drzew się czai,
On w trop za nami skrada się wyrębem;
Kto tylko przysiadł i on przy nim siadał
I biały szynel na niego nakładał.

A kogo spowił w taki rańtuch sztywny,
Ten ostatniego pozbywał kłopotu,
Nie dbał o nocleg, ani te pół griwny,
Którą wieś z jego wyciskała potu.
Utkwiwszy w niebo wrok szklany i dziwny,
Już nie pożądał ni zawidził lotu
Chmurom i ptakom, co z tych krain lodu
Leciały wolne pod blaski zachodu.

Bo tam w tych blaskach, — ach! i któż to powie,
Czyli za tajgą tam, czy za rozdołem?
Tam gdzieś, gdzie mroźne kończy się pustkowie,
Obchodzą Gody... Za stół siedli społem,
Obrus bieluchny, jemioł na posowie,
Turonie kłapią, a chłopcy z aniołem
Ile im gardła: „Moc się rodzi“ pieją...
Tem nas tam żywych trzymałaś, Nadziejo!

Tem nas karmiłaś w onych strasznych próbach,
Gdy mróz w żelazne chwytał nas obroże.
Katy czerwone od czerwonych rubach,
Krwawe żywice na miedzianej korze,
Podbiegłe sińce na naszych kadłubach,
Na zimnem niebie purpurowe zorze,
Piekło czerwieni! — śród takiego piekła
Ostatnia, szósta zima się przywlekła.

A po niej przyszła wiosna. — Jezu Chryste!
Czy kiedy słyszał kto o takiej wiośnie?
Z nieba się deszcze puściły rzęsiste,
Od łez cieplejsze, szumiące radośnie.
Pąpiały dęby i brzozy mdłoliste,
Tajga śpiewała rada, że znów rośnie,
A z krokusami pośród łąk kobierca
I w nas ku słońcu rozwarły się serca.

Serca i uszy rozwarły na wieści,
Co się poszeptem roznosiły głucho,
Że za tą pustką, przedaleko gdzieści
Są, co na jęk nasz baczne mają ucho,
Że — jakiż wyraz radość tę pomieści! —
Możemy w przyszłość poglądać z otuchą
I niech step oschnie i droga się utrze
Puszczą nas do dom dziś, jutro, pojutrze...

Wrócimy znowu między ludzi ludzie,
A nie bezbronna pastwa i żer katów
I odtajawszy tam, po pól tych grudzie,
Zapomnim tajgi i głodu i batów.

A choć na zmarłych tu grób nikt nie pójdzie,
Ani w zaduszki przyniesie im kwiatów,
To ta zdrowaśka, posłana im z dali,
Nad ich mogiłą gwiazdą się zapali.

Na jutro czekać bez jutra — rzecz sroga,
Kres czując dotrwać — ciężej bez ochyby.
Toteż choć rzeką spłynęła śreżoga
I łatwiej było o kawałek ryby,
Choć serce wokół czuło więcej Boga —
Dłoń nam zciężała, omierzły sadyby
I twarz poczęła żółknieć od zazdrości,
Że innym droga rychlej w dom się mości.

Minął rok blisko... Wreszcie dzień czekany
Przyszedł znienacka z starszyny prikazem.
Zawirowały wokół wszystkie ściany,
Poobwieszane zczerniałym obrazem.
Serca pod stopy kłaść Panu nad pany,
Poklękaliśmy wszystko troje razem
I zapalili, przepomniawszy męce,
Na rzęsach światła czyste i jarzęce.

. . . . . .

Ciasno i brudno i głodno i zimno,
Ale lecieliśmy na skrzydłach wiary,
Serca śpiewały pieśń podobną hymnom,
Przeróżne śluby czyniąc i ofiary, —
Wreszcie ziem oną minąwszy zadymną
I w pograniczne wjechawszy obszary,

Z żelaznych wozów zsiedliśmy półżywi,
Ale u siebie, wolni, więc — szczęśliwi!

Wyszliśmy z wozów raźno, na wyprzódki,
A pierwsze było: gdzie kto stał, bez różnic
Paść i całować polskiej ziemi grudki.
Tedy się cichość stała, jak śród bóżnic,
Gdy u ołtarza dzwonek łka cieniutki,
A duch bieleje, jak hostja i już nic
Wspólnego z ciałem nie ma ni mieć żąda
Czując, że Boga twarzą w twarz ogląda.

Tak pokrzepieni powstaliśmy z ziemi,
By po macierzy paść w ramiona braci,
Lecz cóż to? mgła-ż to wzrok nam jeszcze ciemi?
Kto są te straszne dokoła postacie?
Ten tłum z oczyma nawpół zagasłemi,
Któremi wodzi po śnieżnej pustaci
I z szat odarty trzęsie się jak w febrze
I o kąt ciepły i kęs chleba żebrze?

Kto wy jesteście? czyżby wichrów psiarnią
Kat aż z za tajgi poszczuł wasze tropy?
Za co tu jeszcze ściga was męczarnią,
Z lodów rzuciwszy na błotne roztopy?
Co to za kopce pod zrudziałą darnią,
Roztaraszoną matczynemi stopy?
I tobie także, synku mój jedyny,
Co ci się stało, żeś tak strasznie siny?

Przytul się do mnie, przytul się dziecino,
O tu, gdzie serce pod łachmanem bije.
Coś zoczył? — nie drżyj, zwidziało-ć się ino,
Tu po cię ręce nie sięgną niczyje.
Że matce z oczu łzy, jak grochy płyną?
Zawcześnie, matko, — toć on jeszcze żyje,
Tylko ociężał aż mdleją ramiona...
Ludzie! ratunku, dziecko moje kona!

. . . . . .

Gdybyś jak tylu, co poszło w Legjony,
Poległ, mój synu, gdzieś na polu chwały
Rozsieczon szablą lub kulą trafiony, —
Gdybyż to Polsce rany twe przydały
Garść onych prochów, co żyźnią zagony
I ze rdzy czyszczą ryngraf zaśniedziały,
Usta rodzica dzięk-by jeno niosły,
Żeś z tych, u których barku skrzydła wzrosły.

Ale że ciebie bez rany i blizny,
Zaledwoś progi przestąpił żywota,
Ledwoś przekroczył rubieże Ojczyzny
Jak śmieć zgnojony rzucono do błota —
Będę się Bogu skarżył do siwizny
I żal poniosę aż za grobu wrota:
Uszedłem cało katom z śmierci krain
Po to, by w domu zabił mnie brat-Kain!

IV.

DIONIZOS.

Feliksowi Płażkowi.

Niedokończony przez poetę,
Któremu piórem było dłóto,
Wypadłe mu przedwcześnie z rąk, —
Z piersią na miarę bogów kutą,
Z ustami niby dwie czereśnie,
Wpatrzony w jakąś jasną metę,
W promienny kędyś słońca krąg,
Stał Dionizosa posąg we śnie
Białych marmurów...

Wieszcz, co go rylcem pisał w skale,
Nie zamknął go w więzieniu chat,
Za chramy dał mu górskie hale,
Pod wolnem niebem wolny świat.
Kraj, kędy wicher w morzu traw
Krokusów biały muska kwiat,
Gdzie ziemia drży bulkotem szczaw
Nim zdążą dopaść wywierzyska,
Nim nadmiar życia się rozpryska
W tęczowy tuman nad otchłanią,
By barw użyczyć ptasim puchom,
Rozsrebrzyć się nad rączą łanią,
Albo przedzierzgnąć w lotną chmurę,

Albo w głębinę zapaść głuchą
I poślubiając pranaturę
Stężeć na marmur...

Z śnieżnego bloku litej skały,
Dżdżem wypłókanej z łona ziemi,
Z bloku, nad którym laury chwiały
Jagód perłami rzęsistemi,
Z bloku, co tętnił żyłką siną
I gorzał miąszu ciepłem złotem,
Wyłaniał się pod mistrza młotem
Dionizos — młody, cudny bóg.

Teraz mu tylko w rękę wino,
A ocknie się i zerwie z nóg!
Teraz mu tylko lwa do boku,
A pomknie w pląsie i poskoku
Śród wrzawy Menad, z tyrsem w dłoni
W radosnej w jasną dal pogoni
Dionizos — młody, cudny bóg.

Teraz mu tylko w rękę wino!
Lecz zanim mistrz mu przydał grono
— Może by spędzić noc z dziewczyną
Piękniej niż jego bóg rzeźbioną,
A może gdzieś pod Salaminą
Zwycięzcą w krwawe padłszy fale
Przystać do sinych sług Trytona —
Dosyć, że odszedł i już w hale
Nie wrócił nigdy, nigdy więcej
I bóg pozostał się bez grona.

Śnił... A tymczasem nad Helladą
Gwiazd i herosów deszcz jarzęcy
Coraz mdlej świecił, aż i zgasnął.
Gdzieś w Termopylów skalnej cieśni
Legion posłusznych jeszcze wrzasnął
Cudnym akordem męskiej pieśni,
Po dziśdzień słychnej, — gdzieś zkolei
Zgrzyt mieczów dobiegł z Cheronei,
A potem, jakby z harf Eola,
Przez spustoszałe pomknął pola
Ostatni spazm i jęk: niewola!
Lecz on był głuchy... Wówczas nawet,
Kiedy na dumnym Partenonie
Minaret błysnął półksiężycem,
Kiedy weneckich pocisk lawet
Kruszył kolumny, trzon po trzonie,
Aż wreszcie prochy zeżegnięte
Na gruz rozmiotły chramy święte, —
Nawet i wtedy nie drgnął licem
Ani z cokołów swych się zwlókł,
Swój sen marmurów śniący w ciszy
Dionizos, — młody, cudny bóg.

Wieki tak pośród drzew komyszy,
Której liść dębu był poszyciem,
Przetrwał wpatrzony w twarz macierzy,
Co ponad czerwia zbutwieliną
Z niewyczerpanej swej krynicy,
Z niewyczerpanych swych śpichlerzy
Potrząsa wiecznie nowem życiem.
Ona-to w ciepłą, letnią noc

— W noc taką w gwiazdy patrzeć ino
I z ich puharów złotych pić! —
Z pobliża, z chłopskiej gdzieś winnicy,
Niepostrzeżenie, w tajemnicy,
Przez zwalonego dębu kloc,
Z nabrzmiałem niby konwie gronem
Przygięła mu zieloną wić
I w dłoń wtuliła...

Młodem łonem
Wstrząsnęła nagle dziwna moc,
U boku złoty brzęknął róg
Czekając: rychło-ż sok weń stryśnie?
Zadrżały tętna, zadrżał miąsz,
Spragnionych ust spłonęły wiśnie
I przecknął senny dotąd wciąż
Dionizos, — młody, cudny bóg.

Przecknął, potrząsnął bujną grzywą
Oczyma powiódł po niebiosach,
Ku kłośnym w dali spojrzał niwom
I w jutrznię, co się barw tysiącem
Łamała właśnie w rannych rosach. —
Hej! malowany-ż świat ten słońcem
I błękitami modrej fali!
Hej, rozśpiewany-ż świat ten pieśnią
I rozpachniały róż wonnością
I rozkwiecony białą trześnią
I rozradowan dni radością!
Hej! przez te blaski, przez te wonie
W radosne lecieć mu pogonie!

Hej! w Menad kręgu, z lwem u boku,
Z gronem, winnego pełnem soku,
W serc upojeniu, w dreszczu łon
Na gon radosny, święty gon!

Więc krąg zatoczył winoroślą
Ufny, że knieje lwa mu poślą,
A z kwietnych łąk na jego zew
Wybiegnie orszak kraśnych dziew.
Więc huknął: hej! w daleki świat.
Lecz okrzyk skonał pośród drzew...
Nikt nie pośpieszył z ciemnych chat,
By go powitać szumnie, tłumnie, —
Nikt nie poniechał młocki w gumnie
Ani we młynie odbiegł mlewa...
Nie słyszał nikt, jak w głębi strug
Rozlewna radość życia śpiewa,
Jaką rozkoszą dale dyszą,
I zdumiał się tą martwą ciszą
Dionizos, — młody, cudny bóg.

Hej, może przecie po zwyczaju
Czekają go gdzieś na rozstaju
Pszenic i żyta niosąc plon, —
Hej, może przecie gdzieś pod drzewem
Pozdrowią go radosnym śpiewem
I pląsem, jakim bywał czczon....

A oto i rozdroże właśnie,
Kopczyk i kilka polnych róż

I pieśń.... lecz pieśń, co we łzach gaśnie,
Pieśń udręczonych ciał i dusz!
Przed klocem drzewa, zbitym w krzyż,
Chylą się białe czoła w pył,
A korny lęk ich pełza wzwyż
Ku skroniom, w które cierń się wpił,
Ku krwawym potom rąk i nóg
I ku skorpionom i ku włóczni....

Przystanął młody, cudny bóg,
Pojrzał po tłumie, drgnął i zbladł.
— Hej! kto tu kracze niczem kruk
I w kir obłóczy mi mój świat?
Czas nie skradł mię, choć dużo skradł.
Patrzajcie, spojrzcie! przeciem żyw!
Patrzajcie, idę w blaskach jutrzni,
W rytmicznej chwiejbie kłośnych niw,
W trzepocie złotych skrzydeł pszczelich,
W poświacie słońca, w niebios modrzy.
Oto wam w dłoniach niosę kielich,
Kielich radości i wesela,
Co gdy się pełnią swą rozszczodrzy,
Każdego hojnie poobdziela,
Każdemu strząśnie z drzewa lat
Najsłodszy owoc entuzjazmu, —
Hej, zaprzestańcie łez i spazmu!
Czas nie skradł mię, choć dużo skradł.

Daremnie zwać ich, — nie usłyszą,
Pies psem zostanie, krukiem kruk.

Poniechał ich z ich pieśnią mniszą
Dionizos, — młody, cudny bóg.

Poniechał ich i pomknął dalej
Ze swoją pełną wina czarą...
Toć niegdyś młodzi się kochali,
Może go poczczą dziś ofiarą.
Może lekytem się z nim trącą
I młodość bujną, krewką, wrzącą
Strząsną w libacji na dnia cześć.
On ją zaciągnie w sady róż,
Na skroń jej z róż uplecie wieńce,
A ona mirtem spiąwszy włos
Gołąbka złoży Pani z Kos
I szepnie: przytul mię i pieść.
Ciebie ja czekam jak łan zbóż
Czeka w żrałości swej na żeńce...
Hej, zerwij kwiat i nachyl kruż!
Wszak niegdyś młodzi się kochali, —
Miałożby dziś inaczej być?...

Oto dłoń w dłoni idą miedzą.
Wzrokiem w wrześniowej błądząc dali
Łowią pajęczyn wiotką nić
I z nici tej ulotnej śledzą,
Czy trwalszym od niej serc ich związek?
Czy nad liljowych biel gałązek,
Bielsze ich bladych lic westchnienia?
Czy lżejsze w nich od próchen lśnienia
Ich anemicznych myśli blaski,

Co wmówić w siebie chcą nawzajem,
Że raj nie mógłby być im rajem
Poza chramami czystej łaski...

— Hej, czy wam zbrakło już krwi w sercu?
Oto posłanie nad ruczajem,
Oto wezgłowie w traw kobiercu,
Oto wam ptacy pieją leśni
Pieśń najcudniejszą z wszystkich pieśni.
Nie bądźcie-ż tacy mdli i mgławi!
Hymenem słońca lśnią pochodnie,
Gea wam, matka błogosławi,
Miłujcie-ż się jak Gea płodnie!
Niechaj się mnoży, niech się kwieci
Wszystko, co żyje, drga i świeci —
Słyszycie, hej!

Stanęli, patrzą
Z twarzą smętniejszą wciąż i bladszą.
— „Miłość dopóty tylko świętą,
„Póki ustami ust nie tknięto,
„Dopóki dusze blaskiem oczu
„Pławić się mogą w zaobłoczu,
„Czyż nie tak, Lotto?“ — „Tak, Wertherze,
„Ja tylko w taką miłość wierzę“...
Skłamała tając łona dreszcz.
I tak rozstali się nazawsze.
Ona na życie jeszcze łzawsze,
On na mąk dusznych krwawy deszcz,
Że, aby wymknąć się tym bólom,
Pasmo dni swoich przeciął kulą.

Spochmurniał młody, cudny bóg
I poszedł dalej rozłogami,
Przystawał na rozstajach dróg,
Marudził w chatach i pałacach,
W obozach bywał z żołdakami,
Na roli przy rolnika pracach,
W czeluściach kopalń, w fabryk dymie,
I tam, gdzie król na tronie drzemie.
Nędzy przyglądał się i zbytkom
I wszędzie winną swoją witką
I złotym tyrsem w okna pukał, —
Zwędrował ludzkie pokolenia
I nigdzie się w nich nie doszukał
Jednej iskierki upojenia.

— Czyliż możebna, czyż podobna,
By smutek rządził światem wkrąg?
Aby jedynie myśl żałobna
Ze szlochem ócz, łamaniem rąk,
Władała ludźmi niepodzielnie?
Toć przecie pachną kwiaty łąk,
Nektary w lipach brzęczą pszczelnie,
Słowiki nucą, barwy grają,
Błękity schodzą ku ruczajom,
A z każdej barwy, dźwięku, lśnienia
Wytryska morze upojenia...
Menady hej! Syleny hej!
Wychodźcie do mnie z puszcz i kniej!
Chcę śpiewu, pląsu i radości,
Chcę ujrzeć falujące łona,
Usłyszeć pieśń Anakreona

O winie i miłości, —
Toć wiecznym jest pieśnierzy ród,
Strun im nie zżarła rdza ni śniedź
I serca nie zastygły w lód,
W ich piersi zapał musi tleć!

Tak myśląc młody, cudny bóg
Szedł Febusowych szukać synów.
Naprzód w świątyni wstąpił próg,
Potem w gaj mirtów i wawrzynów,
Potem na morza brzeg urwisty,
Potem w szumiący jodłą las,
Ale nie spotkał w nich lutnisty,
Piewcy radosnych dni i kras
Aż wreszcie w gęstwie lecz... kominów
I brudnych ulic zabłąkany,
Stu naraz spotkał Apollinów
Ssących absyntu gorzkie piany
I z pian tych za wszelką cenę
Łowiących Anadyomenę...

Pokraśniał gniewem cudny bóg
I nagle odkrył się ich oczom,
Napełnił szczerozłoty róg
Perlistą winnych gron wytłoczą
I krzyknął: — Hej! wiecie-ż wy ktom?
Jestem Dionizos, syn Semeli,
Co upojenie niesie dniom
I winnym moszczem świat weseli.
Ze mnie swą radość czerpie dzień,
Ze mnie swą radość czerpie życie,
Ziolone tyrsu mego wicie

Grzmią światu: perl się, szum i pień!
Lecz nie pijackim perl się wrzaskiem,
Ni piołunowych łez absyntem,
Jeno radością i tym blaskiem,
Co lśnił nad Pafos lub Koryntem.
Gdzie wasz Amfitrjon? czy egiejska
Kołysze go w sen modry fala?
Gdzież lutnia jego czarodziejska?
W wyziewach knajpy lub szpitala! —
Szedłem się z wami trącić czarą,
Szedłem się z wami poweselić,
Lecz widzę: radość dnia dziś marą,
Niezdolną w piękny kształt się wcielić.
Lecz gdy wam cynizm lica szpeci
— Czas nie skradł mię, choć dużo skradł —
Ostatnią kroplą, co mi zbyła,
Ostatnią kroplą zprzed stuleci
Piję: niech żyje róży kwiat,
Miłość i krasa, wdzięk i siła!

To rzekłszy młody, cudny bóg
Do warg przycisnął złoty róg
I chociaż wiedział, że w głaz wrośnie,
Duszkiem wychylił go rodośnie
Do dna, do kropli!...

. . . . . .

Odtąd znów
Śród marmurowych swoich snów
W wieczyste powróciwszy trwanie,
Stoi promienny, cudny, nagi
Białym posągiem w Watykanie,
Czy gliptotekach Kopenhagi.

V.

STAŁ DĄB NA WZGÓRZU...

Stał dąb na wzgórzu i szumiał na bory:
— Hej! krępe sosny i skarlałe jodły
I wy, dziecinne leszczyn rozhowory,

Cały ty gminie, mdły w liściu i podły,
Cały ty leśny, bezimienny tłumie
Słysz, jakie w niebo hymny ślę i modły!

Sam jeden stoję na szczytach i szumię
Ponad łby wasze, schylone ku ziemi,
I śnię królewskie dumy w mej zadumie.

Nocą rozmawiam z gwiazdami złotemi,
W burzę rozmawiam z jej heroldem, gromem,
Co jest mi druhem przeto, że wciąż śle mi

Śmiertelny wyzew. — Ponad skalnym złomem,
Wysoko wzniesion nad marne igliwie,
Stoję i dumam, a niebo mi domem.

Stoję i dumam, a po lat upływie
Podeprę sobą sklepienie świątyni
I wszystkich, którzy ją ujrzą, zadziwię.

Stoję i dumam, a gdy się wylini
Dzwon z glinnych osłon, w szczycie go uwiążę
I w spiż uderzę, a nikt nie uczyni

Większego cudu. A kiedy chorąże
Wojska światłości będą szukać drzewca
Dla swych proporców, ja z niemi podążę!

Tak z wyżyn szumiał dąb, a czas naśmiewca
Strząsał zeń owoc w dojrzewań godzinie
I spojrzał nadół puszcz królewski piewca
I... żerujące ujrzał wokół świnie.

BAJKA.

Mówią, że kiedy w Betlejem dalekiem
Pan Bóg na sianku rodził się człowiekiem,
A pochylony nad bożem dzieciątkiem
Tchem je swym pragnął ogrzać wół z oślątkiem,
Mały Jezusek, słabiuśki i wiotki,
Nie zdoląc jeszcze wziąć w garstkę obroku,
Dał im, jak ludziom, mowy dar przesłodki
I cud ten w wilją ponawia coroku.

* * *

Tatulu — ozwie się Jaś po wieczerzy —
Pójdźmy w obórkę zajźreć na gadzinę,
Czy nas osłowi? — Zośka w to nie wierzy,
A ja, tatulu, z ciekawości ginę,
Ino się bojam iść, bo ziąb i ciemno.

— Odziej ich, matka, i wraz pódźcie ze mną.

Choć syn rzekł „bojam się“ a ojciec „pódźmy“,
Mazurską gwarą bajki się nie łudźmy,
Od miejsca akcji nic tu nie zawisło,
Ezop nie zważa, gdzie swą baśń wygłasza;
Sprawa się mogła wydarzyć nad Wisłą,
Lecz równie dobrze i w stajni Augjasza,

Do której chyłkiem Jaś, Zośka i ociec
Wleźli, by rozmów między bydłem dociec.

Wleźli, słuchają, a tu cała szopa
Gaworzy sobie nikiej chłop do chłopa,
A że już północ na zegarze bliska,
Żadne z bydlątek nie żałuje pyska,
Byle w jedynej aż naprzezrok dobie,
Instynktom folgę dając, ulżyć sobie.

Zdumiony ojciec tuli k'sobie dzieci,
Boć rozmaicie bywa ciemną nocą;
Razwraz gdzieś ślepiów węgielek zaświeci,
Razwraz gdzieś jakieś skrzydła załopocą. —
Jakby tam była wszystkich zwierząt schadzka,
Tu coś zawyło niby wilcze gardło,
Tam od lwa głośniej ryknęło znienacka,
Ówdzie się jagnie żałośnie rozdarło,
Zaś pod powałą, gdzie siadają kury,
Orlemi w mrokach zaszumiało pióry
I takim skwirem zaklektało w ciszy,
Że się pod dyle pochowały myszy
A nawet śpiący śród grochowin Burek
Zjeżył się, szarpnął i naderwał sznurek.

— O raju, raju — szepnie Jaś pobladły —
Przytul się Zośka.

Bez co?

— Pst, dziewucho,
Nie słyszysz to jak mruczą?

Przecie jadły...

— Terazby naszą chciały popić juchą.
Schowaj się za mnie abo wleź do dziury,
Bo mi się widzi, co ostrzą pazury.

Nagle zbór bydląt uciszył się wszystek,
Bowiem cap-brodacz z brodatym kolegą
Zaczęli dyskurs.
— Albo jestem chłystek
Albo ta szopa jest arką Noego,
U której ściany pęcznieją i rosną
Niepowstrzymaną twórczością radosną.

— I ja tak myślę

— A skoro ze szczętem
Wszystko, co żyło, w potopie zginęło,
My, ta obórka, jest owym okrętem,
W której się nowe kreatury dzieło
Spełni dla świata. Z tej stajni, z jej łajna
Pocznie się doba nowa, nadzwyczajna!
My otworzymy od Zbrucza po Wartę
Nowej ludzkości, nowych dziejów kartę!
My, choćby przez to, żeśmy młodą rasą,
Nowy cel wytkniem nadchodzącym czasom,
My... ja tak tuszę i ty tusz tak, bracie,
Że musiał Pan Bóg mieć specjalne racje,
Iż na lichutkim, tym ot! z dylów promie
Pozwolił się nam ostać w zawierusze.
Toż kiedy obaj na Tatr Araracie

Wylądujemy, dwa Prometeusze,
Nam-to znieść światu nowe z nieba płomię,
Nam, panie dzieju, nam...

No, i tak dalej
Byliby jesze długo rozprawiali,
A Jaś i Zośka jeszcze do tej chwili
W lwa na obórce i w orła wierzyli,
Gdyby nie matka im a ojcu żona,
Nieobecnością ich zniepokojona,
W świetle latarki, którą z izb przyniosła
I którą oto nad gadziną trzęsie,
Nie ukazała im miasto lwa — osła,
A miasto orłów — podskubane gęsie.

DEPTAK.

Wyżej! dalej! — śmiech mię dławi...
Kędyż wyżej? dalej gdzie?
Czy tam, gdzie się orzeł pławi
W purpurowej ranka mgle?

Czy tam, kędy nad otchliskiem
Granitowy duma szczyt
Gasnąc z dnia ostatnim błyskiem,
Różowiejąc w pierwszy świt?

Czyli może wyżej jeszcze
Nad lot orła, nad gór łby,
Gdzie dróg mlecznych prószą deszcze
I słoneczne złoto mży?

Wyżej! hyżej! — lot niespory,
Skoro sięga tylko słońc, —
Toć i za niem są przestwory,
Aż tam, aż tam trzeba siąc!

Cóż to? próżnia? — więc poprostu,
Nie wzwyż lecieć jeno w dal,
Lądem póty, aż z pomostu
Przyjdzie wskoczyć na grzbiet fal.

Już kres toni? — to nic, za nią
Nowy ląd i nowy brzeg,
Zaś za niemi nurt z przystanią,
Z której... rozpoczęto bieg!!!

I tak wkółko, tak bezkońca,
Aż się głowy czepia mąt, —
Z słońc w otchliska, z otchlisk w słońca,
Z brzegu w morze, z morza w ląd.

Śmiech mię dławi, śmiech złej jędzy....
Kto wymyślił taki żart,
Dajcie-ż tymfa mu coprędzej,
Bo zaiste tymfa wart!

TRZY SONETY.

I.

Nie lubię wiersza z jasną kantyleną,
Co niby arja Łucji z Lammermoru,
Płynie gładziuchno, nie wszczynając sporu
Z uchem słuchacza lub poety weną.

Nie lubię za to, że bywa tą ceną,
Dla której często wnętrzna moc utworu,
Zamiast od gromów pożyczać kaloru,
Mdłym się pastelem zadowalnia jeno.

I to, co z ognia wziąwszy swój początek,
Powinno huczeć, pryskać jak kipiątek
I rozżarzoną magmą ziemię żyźnić,
Z wodotryskami poczyna się bliźnić
I słodko szemrać w strzyżonym ogrodzie,
Gdzie Narcyz kształty swe podziwia w wodzie.

II.

Precz z erotami dłóta Praksytela
I Afrodytą z Knidu albo Kosu!
Byt nie jest wizją lubego Hypnosu,
Z Endymionami drzemek nie podziela.

Nie wdzięk, nie gładka powabność go wciela,
Lecz chropowata gwałtowność odciosu, —
Z rozszalałego wirami chaosu
Świat wykrzesało ramię Stworzyciela.

Ziemski cień Jego nie wyrzeźbił Muzy,
Lecz zapatrzony w węży łeb Meduzy,
Dał Mojżeszowi dwa złe, groźne guzy.
Bo na dnie zjawisk, tęczą ich nakryta,
Śpi, lecz wciąż przez sen chychoce i zgrzyta
Najżarłoczniejsza z Ker: t e r r i b i l i t a.

III.

Na szyi swojej nie czując powroza,
Który Lachesis niestrudzenie przędzie,
W gromadzie rado bierzem dnia orędzie,
Ale sam-na-sam drżymy jak mimoza.

Huczny nasz kankan — to jedynie poza!
Pozą: „tam pójdę aż na skał krawędzie!“ —
Szaleć czy tęsknić jedno jest, bo wszędzie
Czyha ta sama sępioszpona Groza.

Groza narodzin, wzrostu i zaniku,
Groza westchnienia i dzikiego krzyku,
Słodkiej miłości, słodszej nienawiści,
Tego, co iści się nam i nie iści...
Na wszystkiem legła omrocz tenebrosa
I na przepaściach bytu wyje: groza!

VI.

NA MARGINESIE „DIVINY“ DANTA.

Połowa płatków tej mistycznej róży,
Po której szedłem za mą jasną Panią,
W mgłach już leżała u naszych podnóży,

A zasię druga pod błękitu banią,
Skąpana w tęczach i porannej rosie,
Gorzała ogniem, że i spojrzeć na nią

Nie dośmiewałem. A wtem na zakosie
Ścieżki, co wiodła na płatek sąsiedni,
Ślad stóp mej Pani zginął w mchach i wrzosie.

Więc przystanąłem jak wędrowce biedni,
Co zaplątani w gęstych mroków sieci
Czekają trwożnie, kiedy się rozedni

I słońce znowu nad nimi zaświeci,
Aby ich ogrzać i wywieść na jaśnię,
Zanim im dusza z ramion precz uleci.

Tak przystanąłem był w miejscu, gdzie właśnie
Cień czarny kładł się i tylko zmysł ucha
Szedł na wywiady, zali gdzie nie szaśnie

Jaka ptaszyna albo gałąź sucha
Chybkiem jej skrzydłem trącona w przelocie —
Lecz wokół cisza zalegała głucha.

Nagle na drzewa pobliskim wykrocie,
Jakby to były świętojańskie czerwie
Lub kwiat czarowny, którym lśnią paprocie,

W dżdżem wypłókanej u korzenia przerwie
Jakoweś modre zażegło się płomię. —
Pojrzę a ono od pnia się oderwie

I zrazu zdala stoi nieruchomie
A potem zwolna ku mnie się nabliża
Aż i językiem ludzkim rzeknie do mię:

— Po co, Durante, kreślisz ten znak krzyża
I drżący wzywasz Ojca, Syna Ducha?
Czyżby zawiodła cię pamięć twa chyża?

Każ jej, niech w lata minione się wsłucha
I — niby nędzarz w śmietnisku — pogrzebie
W wspomnieniach ziemi a rozpoznasz druha.

„Głos twój nieobcy — rzekłem — i znam ciebie,
„A raczej znałem cię pośród padołów,
„Lecz nie spodziewał nigdy ujrzeć w niebie".

„Jakżeś tu trafił w ten ogród aniołów
„Ty, coś miał serce twardsze od kamienia
„A rękę cięższą dla sierot niż ołów?“

„Ty, co podstępnie, bez czci i sumienia,
„Gwałciłeś wdowy, lichwą nędził starce
„I do setnegoś winien pokolenia

„Po łeb występny w smole tkwić i siarce?
„Czyżby cię, w piekieł znieść nie mogąc kaźni,
„Radamant wysłał aż tutaj na harce?

— Mój Allighieri! nie sierdź się, nie drażnij
Woli, ukrytej na dnie serc i sumień —
Wszak możem z sobą mówić po przyjaźni.

Prawda, że ówdzie kędy Arna strumień
O Ponte Vecchio roztrąca swe piany
Byłem... nazwijmy to: nieporozumień

Licznych powodem. Rozkoszom oddany
Gwałciłem często nieletnie dziecięta,
Z prawa czyniłem sobie parawany,

Z ludzkiego potu wyciskał procenta,
Z hańby i trupów kładł do władzy stopnie —
Wszystko to prawda, lecz dziś któż pamięta

Jak to tam było? czy choć jeden kopnie
Imię me głośne? — nikt się nie poważy.
Bowiem, acz żyjąc żyłem... nieroztropnie,

Alem roztropnie zawsze stał na straży,
Aby uczynki wyższym zdając sądom
Pamięci zmarłych nie ściągać z ołtarzy.

Iluż-em przez to i morzom i lądom
Ocalił bożyszcz i podniósł ich cenę!
Ilum sam wyrwał się kaźniom i trądom!

A to w nagrodę za szczęśliwą wenę,
Kiedym u łotra jakiegoś grzmiał trumny:
„De mortuis, inquam, nihil nisi bene".

Widzę, Durante, że choć bystroumny
Nie czujesz słów tych głębi i wartości —
A jednak lepszej nie znajdziesz kolumny

Na chram dźwigany ręką potomności.
Czyż ma obecność tu ci nie wystarcza?
Czyliż za wszystkie dowody nie dość ci,

Że mnie tu widzisz? Tłumu grex potwarcza
Zrazu przemilcza to „nil nisi bene",
Zrazu maksyma ta, to tylko tarcza

Osłaniająca wilka lub hyenę.
Lecz potem, wkrótce, ten i ów narzeka:
„Zawcześnie życia porzucił arenę“

Ktoś drugi westchnie: „ot, szkoda człowieka“,
Ktoś trzeci doda, „świecił cnót przykładem,
„Niechże mu za to ziemia będzie lekka”.

I tak powoli splótł mi się ten djadem,
W którym mnie widzisz, a którego próżno
Szukam oczyma na twem czole bladem.

Tak, tak, Durante, — chociaż zgoła różną
Szliśmy tu drogą, obaśmy u celu.
Lecz gdy ty Pani twej żyjesz jałmużną

Ja sam uszczknąłem kwiatek Asfodelu,
Własne mię tutaj przywiodło natchnienie. —
Teraz odchodzę, bądź zdrów przyjacielu.

Skończył i zniknął, a jam na skinienie
Słodkiej mej Pani, płynącej zukosa,
Duszą pochwycił Jej duszy promienie
I na szat rąbku uleciał w niebiosa.

NA MARGINESIE „DIVINY“ DANTA.

(Paradiso, III, 45—61 i 104—117).

Choć w przepędzonym przez alembik czyśćca
Duch rdzy, a ciało ciężaru pozbyło
I mogłem w sferze bezzębnego łyśca,

Co jest największym wśród gwiazd szaławiłą
(Bo cotygodnia inne wdziewa maski)
Coraz-to żwawiej zdążać za mą miłą, —

Jednak tej jeszczem nie dostąpił łaski,
Ażeby czasem nie pozostać wtyle
Za płynącemi z cudnych ócz jej blaski,

Albo nie grzęznąć w błędzie i omyle,
Jak w owym lesie, gdziem spotkał wilczycę, —
Z księżyca sfery jednę pomnę chwilę...

Jeszcze w Piccardy wpatrzon włósienicę,
Którą — że gwałtem skażono jej śluby —
Niebo zmieniło w tęcze i różyce

I przepoiło światłem jej przeguby,
Pojrzę: a oto z dali ku mnie płynie
Postać piękniejsza nad inne cheruby.

Ty, co te słowa czytasz, osądź ninie,
Czy z purgatorjów wyszedłem zwycięsko,
Że tak znalazłszy się sam przy dziewczynie,

Kraśniejszej stokroć niż granatu mięsko,
Jej alabastrów i ustek ponęcie,
Twardo się oprzeć zdołałem i męsko?

Czytającego te tu słowa klę cię,
Czy w hortus clausus nie wkroczyłbyś śmiało,
Wiedząc, że zdjęto z jego wrót pieczęcie

I że to pyszne swym rozkwitem ciało
Przywinąć ci się do twej piersi uda
Jak się to komuś innemu udało?

Jeżeli szczery jesteś i nie duda,
Pewniebyś porwał ją w krzepkie ramiona
I z warg jej wyssał wszystkie raju cuda

I wszystką rozkosz wezbranego łona —
Lecz ja, com wysechł w infernie na wiórek
I był jak larwa, miąszu pozbawiona,

Złożyłem ręce me jak na paciorek
I tylkom oczy podniósł pałające
Na najpiękniejszą tę z toskańskich córek.

Natenczas ona źrenic swoich słońce
I pączki ustek, świeższych niż przedwiośnie
Zwracając ku mnie, rzekła: — Na tej łące

Na której wokół sama lilja rośnie
I same wkrąg się bielą szpikanardy,
Więdnące z wdziękiem, ale i bezkłośnie,

Piękne ci rzeczy prawił cień Piccardy,
Pięknie gdakało trusiątko Rogiera
I inne niemniej urocze pulardy,

Lecz wiedz, że w kręgu tym jest wyższa sfera,
Tak górująca nad ich wirydarzem,
Jak przed obłudą ma dank prawda szczera.

My tam nie płaczem, że z klauzury jarzem
Lubego dłoń nas wyrwała kochanka,
Ani gorzkiemi łzami się nie mażem,

Że w nas dziewictwo prysnęło, jak pianka,
I że prócz lilij życie nam na czole
Róż purpurowych przydało do wianka.

Żem Wyższej Woli niziuchną mą wolę
Kornie poddała i spoległa na Niej,
Widzisz zdobiącą biodra me cintolę,

Którejbyś próżno szukał na twej Pani.
Jak ją zdobyłam? — zaraz ci opowiem,
Bo chętnie czynią spowiedź zakochani:

Drgnęłam z pierwospu gęsiej skórki mrowiem,
Kiedym o jutrzni w mej zakonnej celi
Ujrzała ksienię, zgiętą nad wezgłowiem.

„Lukrecjo — rzekła — dość już tej pościeli,
„Wstań i włóż habit. Fra Filippo wczora
„Biadał przede mną, że chociaż anieli

„Tłumnie doń schodzą z niebieskiego dwora
„Ilekroć pendzel we fiolce umoczy,
„Lecz się z Madonny twarzą nie upora

„I w martwe linje wizji Jej nie wtłoczy,
„Jeśli łaskawe nie zdarzą mu losy
„Raz jeden spojrzeć w równie modre oczy.

„Ty i bez blichu masz złociste włosy,
„Wargi powabne i słodsze od wiśni,
„W oczach błękity i czar w nóżce bosej.

„Więc, choć malarze bardzo są kapryśni,
„Siądź mu pozować. Może patrząc na cię,
„Postać Madonny z twej postaci wyśni.

„Gdyby zaś chciał cię mieć w luźniejszej szacie,
„Nie broń mu tego, — bowiem człek to boży
„I jak my wszystkie żyje w celibacie".

Posłuszna ksieni powstałam coskorzej
Ufna, że może w obraz nadam mu się
Dla mej twarzyczki niewinnej i hożej,

Lecz pouczona od sióstr, że pokusie
Zaraz spoczątku trza przycierać rogu,
Nie wdziałam giezła pod zakonne włósie

I szat udrękę ofiarując Bogu
I tą udręką jak ogniem spowita,
Zbiegłam do studio i stanęłam w progu.

Próżna ciekawość niech przez cię nie pyta,
Na czem nasz seans utknął już w południe...
Serce mi chciało frunąć z pod habita,

Gdy Fra Filippo począł szeptać cudnie
O tej pożodze, co raz zażegnięta
Na moich ustach, już w nim nie wychłódnie

Po wieki wieków, — że nad święceń pęta
Stokroć więzistsze na niego okowy
Włożyły te ot! — przypatrz się — rączęta,

Że mu w palecie wszystek blask tęczowy
Zgaśnie, jeżeli ja zgasnę za kratą
I że mię z za niej wprost wykraść gotowy.

U kolan go swych widząc, rzekłam na to:
Głos masz cheruba, więc zawsze i wszędzie
Pójdę za tobą. — Na odpuście w Prato,

Jedynym dla nas dostępnym obrzędzie,
Bo tylko w tym dniu wychodzim z klauzury,
Kiedy procesja przez balkon iść będzie

A tłum cintolę przez kadzideł chmury
Ujrzy w liljowych rękach Anunciaty, —
Jako gołąbkę orzeł wichropióry,

Zabierz mię całą i nieś w swoje światy,
Kędy się wszystko tęczą barw słoneczni,
Gdzie dusze pąpią i pachną jak kwiaty,

Gdzie za motyla pyłkiem się im nie czni,
Bo już zamknęły go w tajniach kielicha
I gdzie będziemy sami i bezpieczni...

Za tydzień w Prato, nikt patrząc na mnicha,
Jak z drugim frate, zapłonionym nieco,
Skroś rozmodlonej ciżby się przepycha,

Nie odgadł, czemu oczy im tak świecą,
Nie wyczuł, że tam w imię wspólnej doli
Anioł z aniołem w raj miłości lecą, —

Że ta nad młodszym gwiazda w aureoli
Światło swe czerpie z rzuconych mu skrycie
Przez Anunciatę przepasek cintoli.

Czy widzisz na mnie jej złociste nicie?
Z rąk Pani niebios wzięłam je nagrodą,
Żem w służbie dla Niej strawiła me życie.

Pod pendzlem mnicha byłam jedną odą
Na macierzyństwa cześć i cześć Madonny!
W chramach Florencji wszystkie ród swój wiodą

Ze mnie i z cichej tej celi zakonnej,
Gdziem Fra Filippa natchnęła paletę,
A on z dziewczyny mdłej i wązkołonnej

Stworzył uroczą matkę i kobietę.
Ze mnie, z Lukrecji Buti czar ten płynie,
Co daje wzniosłą malarstwu podnietę

I wciąż trwa jeszcze i nieprędko minie,
Bo chociaż dzisiaj i ja i mnich cieniem,
Oboje żyjem w naszym Filipinie,

Postać ma dotąd jest jego natchnieniem. —
Lecz dość spowiedzi. Oto się już łąka
Wstydliwych Piccard odezwała pieniem

I twoja Bice samotnie się błąka
I tobie śpieszno zacząć z nią b e l l'c a n t e
I mnie już tęskno do mego małżonka.
Odchodzę zatem, — bywaj zdrów, Durante!

VIII.

ARISTARCHOS.

Żył niegdyś w Aleksandrji, nauk i świątyń mieście,
Syn smutku i tęsknoty imieniem Aristarchos. —
W kołyskę Heraklesa Olimpu możne bogi
Rzuciły węże śliskie, zabójczych pełne jadów;
Krwawszą na Aristarchu wziąć zapragnęły pomstę,
Śląc niemowlęciu lutnię, którą sam Febus stroił.
Dwunastu robót sprawca stugłową zdusił Hydrę, —
Syn smutku i tęsknoty poskromił bóstw gadzinę,
Stutonną lutnię Feba i odtąd był jej panem
W obliczu samotności i nocy wygwieżdżonych.

A gdy lat męskich doszedł, w przysionkach Akademji
Ust mędrców się wieszając, z innymi zasiadł ucznie.
Wszyscy z radością żaków sycili mózgów łasość —
On silił się daremnie uśmierzyć ducha głody;
Co chlebem było innym, za okruch miał Aristarch.
Mimo to skrzętnie zebrał ułomki wszelkiej wiedzy:
Pobratał się z księgami potężnych magów Wschodu,
Umarłych rytuałem i schadzką dusz Platona, —
Pytagoresa mistów przyswoił sobie liczby,
Atomy Demokryta i Archimeda kreślby.
Lecz gdy wzrok mistrzów więził przemyślny kształt [niezmianu,
On ducha swego kładąc na szali Wag niebieskich,

W przestworach świata szukał równego mu ciężaru;
Lecz gdy rój mistrzów zasiadł zbutwiałe gryźć byblosy
Lub cyrklem mierzyć kształty nadobnych cór Parnasu, —
On łowiąc uchem tony przedziwnej słów harmonji,
Ze zbożnem tchu zaparciem przed wieczną klękał Krasą.
A tak po latach kilku, zatrutych serca buntem,
W nagrodę nauk wziąwszy: „wiem jedno, że nic nie wiem",
Zapragnął w blaskach słońca otrząsnąć zmierzch posępny,
Co z pyłem starych książnic na młodą padł mu duszę, —
Zapragnął w łunach pieśni wyprażyć swego ducha
I dać mu ambrozyjskich upojeń słodki nektar.

Gdy przeto raz w stolicy, dorocznych igrzysk dobą,
Lud żądny wrażeń płynął w podwoje hippodromu,
On wziąwszy swój tetrachord przed cyrku stanął bramą
I w błękit zapatrzony przy wtórze jego śpiewał. —
Napróżno wzywał edyl, by w szranki szli szermierze,
Napróżno otwierano tygrysom i lwom klatki;
Milczenie pustych ławek zasiadło amfiteatr,
Bo nawet gladjatorzy wybiegli słuchać pieśni.
A pieśń to była wielka, a treścią jej świat cały...
A gdy na chwilę zmilkły cudowne dźwięki liry,
Gdy martwe dotąd morze głów ludzkich, ludzkich piersi
Zawrzało oklaskami i wrzaskiem: „jeszcze! jeszcze!" —
On z okiem w dal utkwionem zaczerpnął w pierś oddechu
I każdej ze strun czterech zosobna brzmieć rozkazał.
I dotknął pierwszej struny. Stalowe dała zgrzyty,
Zmięszane bitwy głosy, szczęk zbroic, koni rżenie,
Skrzyp osi u rydwanów, biadanie na śmierć rannych,
Radosny krzyk zwycięzców, pożogi trzask i płomień.
Aż rzesza zasłuchana, śród grozy i zachwytu
Poczęła zewsząd wołać: „Słyszycie płacz Iljonu?

„O, dzięki ci, pieśniarzu, jak drugi Homer śpiewasz!“
On milczał, w tłum zebranych na zwiady posłał ucho —
„Jak Homer, drugi Homer“... — ze wszystkich słyszał [krańców,
„Jak Homer, drugi Homer“... — nikt innych nie miał [pochwał.
Więc trącił strunę wtórą. Rozpierzchłe zrazu dźwięki
Przed okiem zachwyconych w cudny się zrosły obraz:
Zielone wokrąg pola, gościniec, mury miasta,
Na murach lśnią peplosy stęsknionych żon i dziewic,
U bram czekają starce i dziatwa z kwieciem w dłoni.
A wtem w oddali słychać miarowy krok zastępów,
Grzmią bębny, surmy, fletnie, i w jasne niebo leci
Zwycięski pean legji, co z tarczą dodom wraca. —
Pojęli pieśń słuchacze i nagle rąk tysiące
Nabrawszy w narącz lauru, miasto na piasek aren,
Pod stopy Aristarcha poczęło wieńcem ciskać,
A zewsząd dolatywał sąd jeden tysiącgłosy:
„Zaprawdę gdyby gród nasz ofiarą padł najeźdźcy,
„W gruz ległyby ulice krom domu Aristarcha,
„On jeden bowiem godzien brać lutnię po Pindarze!“
Wieszcz milczał, od dżdżu laurów twarz zbladła mu [zielenią,
Z chmur czoła błyskawice na gwarną padły gawiedź
I zanim głośne chwalby umilkły w zgromadzeniu,
Znów ujął lutnię w dłonie i w struny bił i śpiewał.
W okrzyku tym namiętnym, w perlistych nut kaskadzie,
Słyszano szept kochanków omdlałych na wezgłowiu,
Gorące pocałunki, westchnienia, prośby, klęcia,
Owiane mgłą tęsknoty i takiej żądzy pełne,
Że tłum się poczuł świadkiem rozpacznych łez Safony,
Gdy z łoża jej przedwcześnie wysunął się kochanek

I tylko mrok nieważki jej śnieżne przyległ biodra.
Już krocie rąk słuchaczów, gotowych do oklasku,
Powiało nad głowami, lecz pieśniarz chęć ich znając,
Od strun nie odjął palców i tylko z widnym gniewem
Zanucił pieśń biesiadną, w której sto czar falerna
Trącało się o siebie i sto róż w wieńcach gasło.
A wtem umilkła lutnia, lecz pieśniarz nie zamilknął.
„Słyszycie — wołał groźny — tanecznic żwawe pląsy?
„Słyszycie jak się wino w kielichy sączy z amfor?
„Jak płoną pocałunków spragnione heter usta
„I chęć użycia kwietne zaległa wkrąg leżanki?
„Krzyczcie-ż w lubieżnym dreszczu, żem dał wam pieśń [nad pieśni,
„Że we mnie się wam drugi objawił Anakreont!
„Lecz sąd wasz mylnym będzie, bo dotąd nigdy jeszcze
„Hulaszczych orgij śpiewak nie kończył tak swej pieśni. —
„Patrzcie — to mówiąc podniósł nad głowę lutnię złotą —
„Z rąk Feba ją dostałem i sam on stroił mi ją.
„Od dzisiaj nią pogardzam i poklask wasz haniebny
„Odtrącam precz od siebie. Wawrzynów innych szukam
„I innej nowej lutni, co ton nieznany da mi,
„Pełniejszy, czystszy, lepszy niż w sobie krył ten rupieć!“
To rzekłszy o głaz bruków roztrzaskał swój tetrachord
Z okropnym strun roziękiem i nim się tłum opatrzył,
Śród ciżby zniknął pieśniarz i wpierw nie wstrzymał kroku,
Aż ujrzał się za miastem śród zbóż i łąk i gajów.

Już słońca dysk miedziany, straciwszy siłę pędu,
Za krawędź widnokręgu zasuwał się powoli,
Gdy z głową wdół zwieszoną, bezlirny i samotny,
Przystanął Aristarchos nad morskich wód zalewem.
Spienionej poszum toni i chłodny, słony powiew

Poczęły skroń mu rzeźwić i spiekłe muskać wargi,
A miękki blask księżyca, biegnący doń po fali,
Nieznaną mu pieszczotą osrebrzył jego myśli
I skrzydła im przyprawił. — Na mokrym ległszy piasku
Źrenice w Zodjak utkwił. Miljony ciał niebieskich,
Których nie znały dotąd najlepsze astrolabia,
Na duszę jego mżyły ulewą złotych iskier.
Strwożony zmrużył oczy i oto znowu morze
Poczęło doń przemawiać podgłębnej fali chlustem
I groźnym swym pomrukiem Bezmiaru i Wiecznoćci,
Co w stadle niestrudzonem kształt nowy ciągle płodzą.
I zdało mu się wtedy, że z gwiazd i szumów morza,
Z odwiecznych form materji, z pod jarzem jej i więzów
Pieśń jakaś chce się wyrwać, rozpętać, rozsłonecznić
I w jego pierś wstąpiwszy przez niego się objawić.
I zdało mu się wtedy, że nową pieśń odnajdzie
Przyrody wiecznie żywą czytając pilnie księgę.

Szedł odtąd i przeglądał najmniej czytelne karty.
Podsłuchał fal przelewy i dna tajemne ruchy,
Zrozumiał pian dytyramb w tęczowych drżący kręgach,
Odgadnął wzrost leniwy koralnych raf i pereł,
A gdy już Posejdona i ludy jego przeznał
Porzucił brzegi morza i krok obrócił w góry,
Gdzie słońce wcześniej wstając ociąga się z odejściem.
Tam śledził wichrów harce lub czytał na obłoku
Pisane błyskawicą królewskich orłów skwiry.
A gdy już wszystko poznał, przebadał albo przeczuł,
Pociągnął na pustynię libijskim żółtą piaskiem
I ukrył się nadługo śród oaz chłodonośnych
I prawie już zapomniał o możnych bogów gniewie.

Wtem nadszedł dzień wyroczny i dawny ból obudził.
Bo oto gdy jaśniejszy nad inne błysnął ranek
I słońcem zadraśnięty Memnona posąg zapiał,
Aristarch taką tęskność za pieśnią poczuł w łonie,
Że chwili nie zmieszkawszy, z pnia palmy niebolotnej
Wykrzesał gęśl misterną i strun w nią tysiąc wprawił,
A chcąc u ścian piramid sędziego w echu znaleźć
Przekroczył skalne zręby i w Nilu zbiegł doliny.

Umarłych miasto spało. Czasami śród grobowców
Zaskomlał drobny szakal i przepadł gdzieś w szczelinie,
Czasami od zachodu gorący zawiał podmuch,
Pochwycił w garść swą piasku i w blask miesięczny [ciskał —
Pozatem cisza wokół zaległa niezmącona,
Kamienna cisza mogił, nad którą trzymał straże
Jedyny wieków świadek, Sfinks...

Tam właśnie z lutnią swoją przystanął Aristarchos
I dłoń po strunach puścił. Jęknęły w głos tysiączny
Ogromny, pełny, wielki, — trąciły Sfinksa stopy,
Odbite od nich echem wróciły do pieśniarza
I w sercu mu skonały. — Zaprawdę, czyżby Tyfon,
Co skradał się podstępnie od strony wydm piaszczystych,
Wyłowił z jego pieśni zdobyte w ciszy tony
I tylko dawno znanym pozwolił brzmieć akordom?
Przez bogi, być nie może! — przez bogi, słuch go myli.
A toć on lutnię swoją tyloma brzmień wzbogacił,
Odmienił, przeistoczył!... I zagrał po raz wtóry
I pobladł i wyciągnął ku niebu dłonie drżące,
A trzewia w nim zawyły rozpaczną nienawiścią:
„Przekleństwo tobie nocy, po trzykroć ci przekleństwo

„Przekleństwo tobie słońce, po trzykroć ci przekleństwo!
„Przekleństwo, tobie ziemio, przekleństwo, tobie morze,
„I tobie, życia siło i tobie, pieśni szale!
„Kto zna was nad mnie lepiej? kto dojrzał niedojrzane?
„Bezdźwięczne kto podsłuchał? bezkształtom kto kształt [nadał?
"Ja jeden, ja, Aristarch, ja pieśniarz, ja lutnista.
„I czemże wy jesteście, wy bytu zwiewne cienie?
„Jam duszy mej bogactwem ozdobił nędzę waszą,
„Jam myśli mej przepychem bezmyślność okrył waszą,
„A oto bezmiar zjawisk nie starczy nawet na to,
„By stworzyć jeden atom nieznanej dotąd pieśni!
„Czytałem z ksiąg przyrody..., przeklęte są jej karty!
„Wszędzie ten sam niezmienny w Olimpie drzemie Zeus,
„Te same wciąż peplosy haftuje w noc Ergane,
„Jednaki wciąż Posejdon przewala się w odmęcie...
„Nad Nimf i Faunów roje cóż więcej dojrzę w lasach?
„Czyż nigdy innych głosów prócz wycia Boreasa
„Me ucho nie pochwyci w wichurze huraganu?
„Zaprawdę hańba Zeusom, Atenom, Nimfom, Faunom,
„Kwitnącym hańba kwiatom, że piękne są o wiośnie,
„Że lilje pachną cudnie, że barwy nęcą oko,
„Że gwiazdy lśnią w lazurze, że takie są nie inne!
„O, gdybym raz je inną ogarnąć mógł źrenicą,
„Przepoić innym duchem i treść ich przeobrazić,
„Powstałaby pieśń nowa, a z niej i ludzkość nowa...
„Zaklinam cię, gdzie ona, lwiołapy mumij stróżu!"

Tak pytał w głos Aristarch i mimo gróźb Tyfona,
Co już go po kolana uwięził w suchym piasku,
Z wzniesioną w górę lutnią poglądał w oczy Sfinksa

I chciał się w nich dopatrzeć litości albo gniewu —
Lecz Sfinks niezmiennie milczał.

A wtem u podstaw jego
Podziemnych świątyń okna błysnęły długim rzędem.
To tłum kapłanów świętych, kult kryjąc w głębi pieczar,
Tajemne swe misterje odprawiał o północy.
I mimo wichru wycie i piasku falowanie,
Aristarch już do pasa zatopion w miałkiej toni,
Usłyszał słowa hymnu, a każde jego słowo
Żelaznych kleszczy bólem wżerało mu się w piersi.

CHÓR KAPŁANÓW

Gdzie siarka, żagiew gdzie?
Przytępiał twardy szpon,
Zleniwiał ostry dziób,
Ociężał skrzydeł lot,
Zestarzał Feniks już —
Gdzie siarka, żagiew gdzie?

Gdzie płomień, iskra gdzie?
Pod strzechy miast je kłaść,
Pod świątyń kłaść je mur,
Pod zręby wszystkich państw,
Pod zręby wszystkich ziem —
Gdzie płomień, iskra gdzie?

Hej, smolnych szczap i drew!
Z popiołu wszystkich ziem,
Z popiołu wszystkich państw,
Ze zgliszcza wszystkich wiar,
Ze zgliszcza wszystkich dusz,
Powstanie Feniks znów,
Odwieczny, boski ptak,
Największy z cudów cud,
Wciąż inny, choć ten sam —
Hej, smolnych szczap i drew!

Aristarch z przerażeniem wsłuchiwał się w te modły,
Aż wreszcie je zrozumiał. Lecz kiedy treść ich pojął,
Nie pora mu już było swą lutnię na stos rzucać,
Bo oto po ramiona w piasczystym tkwiąc pagórku,
Mógł tylko oczu żarem obrzucić świat i ludzi.

VIII.

SCHODZĄC Z ARENY.

I.

Tam, gdzie me serce pod stalą uderza,
Na świetnej zbroi, szmelcowanej złotem,
Zatknąłem różę ponsową, by po tem
Poznano zdala godło i rycerza.

Niechaj nieprożno cios we mnie wymierza
Kto mi przyjaznym chce usłużyć grotem, —
Na dank zwycięzcy ponad bełtu wlotem
Obok przypiętej błyśnie róża świeża.

A ty, co zerwiesz ją młody junaku,
Kiedy już blachy na mnie strasznie dźwiękną,
Jej aromatem upajaj się dymnym
I purpurową zawieś na szyszaku,
A ja dziękczynnym rozsławię cię hymnem,
Że za laur piękny dałeś mi śmierć piękną.

II.

Tyle przynajmniej! przynajmniej na skonie
Ujrzeć wdzięk młody, krasy swej nieświadom,

Posłuszny tylko serdecznym wywiadom,
I szeptom ognia, co mu w piersi płonie.

Tyle przynajmniej, aby na dnia skłonie
Wyminąć z drogi zbirom i czcikradom
I pokonany męstwem, a nie zdradą,
Zwycięzcy swemu móc uścisnąć dłonie.

A czując, że się już zrywa z uździenic
Duch i za słońcem jak żóraw ucieka
Od grząskich bagien na przeczyste morza,
Czytać z sompierza gorejących źrenic,
Że swą litością mnie nie upokorza
I że sam człowiek, czci we mnie człowieka.

III.

Wtedy ostatniem, gasnącem spojrzeniem
Świat cały znowu objąłbym miłośnie,
Przypomniał kwiaty, rozkwitłe o wiośnie,
I jak za młodu poił się ich tchnieniem.

Wtedy uwierzyłbym mocnem wierzeniem,
Że niedośniony sen mój jeszcze dośnię,
Że inne życie na ziemi wyrośnie
I z błota w czysty kruszec się zamienim,

Że z tego kruszczu takie serca wstaną,
Co nie zachwieją się ani nie pękną
Z bezsilnej złości lub trwogi nikczemnej,
Żeśmy krwią naszą, ofiarnie przelaną,
Zwiedli okropny ale nie daremny
Bój o wieczyste, niespożyte PIĘKNO.

PROŚBA.

Hej, budarzu, mój budarzu!
Biały mi wybuduj dom,
Białe izby, białe łoża
Moim jak śnieg białym snom.

Na fundament szukaj głazu
Na dnie czystych, górskich wód,
A najbielszy połóż w progu,
By mi białych gości wiódł.

Wpośrodku we świetlicy
Zrób mi okno stąd i stąd, —
Jedno na wolności morze,
Drugie na wolności ląd.

Bowiem duch mój już pożąda
Wolnych wód i wolnych ziem —
W nieskończoność płynąć z falą,
Lecieć w bezmiar z wichru tchem.

— Haj, o taki dom nie biéda,
Wybuduję go wam wraz —
Wdy się najdą śtéry deski
A pod głowę rzécny głaz.

TESTAMENT POETY.

(wyjątek z baśni scenicznej „Popieluch")

A gdy będziecie wynosić mię z domu,
Z domu niewoli a boisk pogromu,
Stuknijcie trumną krzepko i trzykrotnie
O chaty próg,
Abym nazawsze i już bezpowrotnie
Odejść stąd mógł.

Choć może po mnie łza się wam zakręci,
Nie chcę niczyjej obarczać pamięci.
Jak mnie tu z wami, jak wam było ze mną,
Dobrze czy źle?
Dochodzić próżno, badać nadaremno —
Sam Bóg to wie.

Tylko o jedno, to jedno was proszę:
Z przyjaznych ramion uplótłszy mi nosze,
Nieście mnie cicho gdziebądź, gdzie wam wola,
Tam albo tu,
Byle w słoneczne, otworzyste pola
Na sen bez snu.

Biblioteka Śląska

Najradziej ległbym gdzieś pod polną gruszą
Albo wśród wierzbin, co baziami prószą. —
Dziczki nie rodzą, a wierzby nie kwitną.
Nikt nie tknie ich.
Ale i dla nich niebo się błękitno
Zwiesza nad lich.

Ale i dla nich z bitego gościńca
Zdrożony tułacz, prorok czy złoczyńca,
Znęcony cieniem ku ich pniowi zboczy,
Oprze się oń
I, sam nie wiedząc czemu, zmruży oczy
I zwiesi skroń.

Wtedy mu szeptem, wiecznie staronową
Pieśń ukojenia zanucę nad głową
I potajemnie na duszę uszczwaną
Otrząsnę liść,
Że pojmie wreszcie, czemu mu kazano
Iść wciąż i iść...

Objaśnienie.

Treścią poemaciku: NA MARGINESIE „DIVINI“ DANTA str. 103 jest zdarzenie głośne w dziejach Florencji quattrocenta.

Uzdolniony w malarstwie braciszek zakonny a następnie mnich, Fra Filippo Lippi, rozmiłowawszy się w zakonnicy Lukrecji Buti i wzajemność jej pozyskawszy, wykradł ją z klasztoru podczas uroczystości ukazywania ludowi z balkonu świątyni w Prato, arcydzieła Donatella, relikwji Paska N. M. Panny, który — aż do następnego święta Cintoli — przechodził w mniemaniu wiernych w mistyczne posiadanie najpiękniejszej i najczystszej z dziewic florenckich. — Uwiedzeniem Lukrecji Buti z za klauzury i pożyciem jej z Lippim gorszono się lat kilka, aż wreszcie papież Aleksander VI Borgia zwolnił oboje od ślubów zakonnych i związek ich ulegalizował.

Anachronizm rozmowy Danta z istotą, która żyła po nim blisko dwa wieki później, nie powinien być dla nikogo kamieniem obrazy, boć sam Allighieri dopuścił się w swym nieśmiertelnym poemacie kilku podobnych anachronizmów.

SPIS RZECZY.

str.

Przedmowa, napisał Dr. K. L. Koniński . .
Rankiem w Morskiem Oku 3
Wśród ruin 7
W mrokach 9
Do... 15
Wspomnienie 17
Czarne róże 19
Na rozstaniu 23
Nigdy 24
Po latach 26
W sianożęcie 29
Z melodyj jesiennych 30
Wieczorny dzwon 31
Gladiola 32
Pod wierzbą przydrożną 33
Na nutę psalmodyj 34
Nad stawem 37
Na wyrębie 42
Sierpień 1914 51
Pamięci Orląt lwowskich 55
Jak „berbecie“ dały nauczkę bryg. Berbeckiemu 57
Naopak. Gawęda żołnierska 61
List do braci wychodźców 65
Powrót 71
Dionizos 79

Str.
Stał dąb na wzgórzu 93
Bajka 95
Deptak 99
Trzy sonety 101
Na marginesie Diviny I. 105
Na marginesie Diviny II. . , . . . 110
Aristarchos 121
Schodząc z areny 133
Prośba 136
Testament poety 137
Objaśnienie 139

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000609954
II 172181